

CO TYDZIEŃ POWIEŚĆ!

Cena numeru **30 groszy**

№ 23

Kiedy numer stancui
zamknie całość
powieściowa.



JERZY ALEKSANDER.

CZŁOWIEK ELEKTRYCZNY

MIRANDA

&



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

ZBRODNIA

Służąca Franciszka spała tej nocy bardzo twardym snem. Ktoś się kręcił po kuchni i głośno stękał. Stanął przy komodzie i wyciągnął z niej wielki nóż kuchenny. Potem wyostrzył go o kamień i zaczął się zbliżać do łóżka. Franciszce zaparło dech w piersiach. On zbliżał się wolno, ale pewnie. Franciszka zaczęła się kurczyć i nasunęła pościel na twarz. On stał już przy niej i błyskał ostrzem noża. Już widziała przed sobą jakby krew, ale bała się krzyknąć. Tymczasem nóż stawał się coraz bliższy i już muskał jej skórę. Franciszka zebrała wszelkie siły, aby krzyknąć. Zanim zdążyła wydobyć głos, usłyszała z pobliskiego pokoju jakiś przeraźliwy, przejmujący krzyk. Otrząsnęła się prędko z koszmarnego snu. Nóż już nie było, przez szyby dochodziło już szarzące światło, ale odgłos przeraź-

liwego głosu jeszcze się rozlegał.

Dygocząc z przerażenia Franciszka zerwała się z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. Ostrożnie uchyliła drzwi. Na korytarzu panowała cisza. Nie było nikogo i nie dostrzegła żadnych śladów płądrowania lub walki. Drzwi wiodące do pokojów były zamknięte. Powoli zbliżyła się do nich i położyła rękę na klamce. Przez chwilę wahała się, śmiertelny strach paraliżował jej wolę — w końcu gwałtownie pchnięte drzwi otworzyły się na oścież. Rozejrzała się naokoło. Żadnych śladów zbrodni. Drzwi do sypialni jej pani, wdowy Joanny Dietrichowej były lekko uchylone. Za nimi kryć się musiała przerażająca tajemnica. Franciszka weszła do sypialni. Pierwsze jej spojrzenie padło na łóżko pani. Stała jak wryta — kołdra była odchylona, łóżko stało puste. Meble stały w zwykłym porządku. Wzrok służącej padł na wielką kasę pancerną. W bocznej jej ścianie widniał wielki okrągły otwór. Podbiegła bliżej i przeraźliwy krzyk wydarł się z jej gardła. Pod stolikiem, stojącym za kasą, skurczony i czarny, z szeroko otwartymi oczyma, leżał trup, Joanny Dietrichowej.

Kiedy Franciszka wróciła do przytomności, mieszkanie było już pełne obcych ludzi. Kręcili się po pokojach, przestawiali meble, podnosili przedmioty i coś notowali. Przy stoliku siedział komisarz Twardy i spisywał zeznanie dozorca. Właśnie oczekiwano obudzenia Franciszki. Z półprzytomnych zeznań starej, wiernej służącej wynikało, że pani udała się wczoraj na spoczynek, jak zwykle o 9 ej wieczorem. Żadnych objawów zdenerwowania Franciszka nie zauważyła. Pani Joanna Dietrich prowadziła odosobniony tryb życia. Od czasu, jak owdowiała, nie utrzymywała żadnych stosunków towarzyskich. Żyła bardzo dostatnio z renty i stałej sumy, którą jej przysłało za dzierżawę wielkiego majątku. Miała konto w kilku bankach.

— Czy nikt nigdy nie przychodził do zmarłej? — Indagował komisarz Twardy.

— Nikt. Pan Witold też ostatnio nie przychodzi.

— Pan Witold? A kto to jest?

— Syn naszej pani. Wyprowadził się od nas przed kilku dniami. Pani bardzo przez to płakała — informowała Franciszka, łkając.

Z dalszych indagacji, przerywanych ciągle szlochaniem Franciszki, wynikało, że Witold był zaręczony z jakąś panną i że tragicznie zmarła zdecydowanie przeciwstawiała się temu związkowi.

Pierwsze chaotyczne zeznania służącej, dozorca i sąsiadów z najbliższych mieszkań nie rzuciły jeszcze żadnego światła na sprawę zabójstwa. Jedno nie ulegało wątpliwości — mord został dokonany dla rabunku, i to przez ludzi, posiadających pierwszorzędną rutynę i doskonale narzędzia do otwierania kas. Już pierwsze pobieżne oględziny wykazały, że ściana kasy została wytopiona przy pomocy niezwykle wysokiej temperatury, jakiej nie daje nawet acetylen. Komisarz Twardy i funkcjonariusze policji śledczej zdumieni byli niezwykłym sposobem włamania. Na noc prócz drzwi wejściowych, opatrzonych zamkiem angielskim, zamykało się drugie ciężkie drzwi z kutego żelaza, opatrzone z we-

wnętrz w ciężka, skomplikowana kłódkę i poprzeczna belkę metalowa- I tutaj wszystkie zamki zostały w niezwykle sposób wytopione. Ze względu na to, że włamywacze musieli pracować w klatce schodowej, robota ta musiała być obliczona, co najwyżej na kilka minut. Starzy wytrawni funkcjonariusze policyjni stali w zdumieniu przed tymi zagadkami, nie przeczuwając jeszcze innych, stokróż bardziej niesamowitych i dziwacznych.

Pobieżne oględziny trupa nie wykazały żadnych zewnętrznych urazów, nigdzie nie natrafiono na ślady krwi. Skóra była jedynie ciemna, sucha i wydawała jak gdyby lekką woń spalenizny. Dopiero doktor sądowy stwierdził, że staruszka zabita została przy pomocy niezwykle silnego prądu elektrycznego, znacznie silniejszego, niż używany przy traceniu przestępców na elektrycznym krześle. Prąd o tym napięciu musiał zabić w ciągu ułamka sekundy. Nigdzie w domu, ani w okolicy nie była zainstalowana aparatura, któryby była źródłem prądu o tak silnym napięciu. Żaden przenośny aparat również nie był do tego zdolny. Szczegółowe badania daktyloskopijne drzwi wejściowych, wszystkich przedmiotów metalowych i lśniących w pokoju zamordowanej nic wykazały żadnych śladów dotknięcia ludzkiej ręki.

Komisarz Twardy rozpoczął na nowo wypytywać łkającą bez przerwy Franciszkę. Imię syna Witolda było jak dotąd jedyną nicią, której można się było chwycić. Oto, co można było odtworzyć z beładnych i przerywanych zeznań poczciwej, przytępionej nieszczęściem, służącej. Wdowa przed dwoma mniej więcej laty ubezpieczyła się na życie w towarzystwie asekuracyjne „Securitas“ na znaczną podobno sumę. Sprawę ubezpieczenia załatwiał syn jej Witold, który poznał przy tym jedną z urzędniczek towarzystwa Jadwigę Stecką. Znajomość między młodymi dość szybko przekształciła się w miłość. Wdowa bardzo niechętnym okiem patrzyła na ten stosunek. Rozporządzając znacznym majątkiem pragnęła dla syna posażnej panny, a nie skromnie zarabiającej urzędniczki. Na tym tle dochodziło pomiędzy Dietrichową a synem do przykrych scen. Witold zależny od matki materialnie, — gdyż sam będąc studentem medycyny nic nie zarabiał, — nie mógł się zdobyć na małżeństwo wbrew jej woli. Dopiero na kilka dni przed tragedią objął jakąś skromną posadę, wynajął mały pokoik na przedmieściu i wyprowadził się z mieszkania matki, której oświadczył, że postara się własnym wysiłkiem ukończyć studia i ożenić się z kobietą, którą kocha. Od tego czasu w domu go nie było.

Po przesłuchaniu Franciszki komisarz Twardy zmarszczył czoło. Myśl o straszliwej zbrodni matkobójstwa popełnionej z najniższych, bo materialnych pobudek przez młodego studenta medycyny wydawała mu się nieprawdopodobna w swojej okropności. Niezwykłe, wyrafinowane metody zabójstwa i włamania również nie wskazywały na początkującego przestępcę. Ale śmierć matki dawała synowi jako jedynemu spadkobiercy wysoką sumę z tytułu ubezpieczenia, która od razu usunąć mogła jego wszystkie troski materialne. Długotrwałe złe pożycie z matką, ostatnie gwałtowne zerwanie, może podszepty ze strony pragnącej bogactwa panny, — kto wic, słabe charaktery załamują się czasem... Złowroga

chmura podejrzeń gęstniała.

W tej chwili do komisarza zbliżył się jeden z funkcjonariuszy policji śledczej z jakimś starszym, siwym, czcigodnie, wyglądającym panem.

— Doktor Rydzewski jestem — przedstawił się nieznajomy — chciałbym złożyć zeznanie, które może przyda się panom. Otóż, dzisiejszej nocy, wracając do swego mieszkania około godziny 1.30 — 1.40 spotkałem schodzącego ze schodów syna pani Dietrichowej — Witolda. Uśmiechnął się do mnie i grzecznie mi się uklonił.

Komisarz Twardy drgnął. To, co powiedział doktor stało w rażącej sprzeczności z zeznaniami służącej, która przecież twierdziła, że syna od czasu zerwania u matki nie było. Dozorca również ani nie otwierał mu bramy w nocy, ani go nie widział. To jednakże mogło tylko umocnić podejrzenia. Witold — jeśli to on był mordercą — przyszedł przed zamknięciem bramy, ukrył się gdzieś na strychu — około 1-szej dokonał zbrodni — poczerń, na swoje nieszczęście spotkał doktora Rydzewskiego, znowu się ukrył i rano, po otwarciu bramy, wyszedł. I w tern rozumowaniu nic wszystko było jasne. Jeśli zabił, jak mógł puścić z życiem jedyne świadka swej obecności? Jak mógł zachowywać się tak swobodnie? Jednakowoż poczciwy staruszek dał podejrzeniom komisarza konkretną treść. Poszlaki były już zbyt silne, by można się było dłużej wahać. Komisarz zanotował coś, podziękował uprzejmie doktorowi i szeptem wydał jednemu z funkcjonariuszy rozkaz aresztowania Witolda.

Dochodzenie na miejscu zbliżało się ku końcowi. Twardy swoim starym zwyczajem, przed ostatecznym opuszczeniem i opieczętowaniem mieszkania postanowił jeszcze raz pobieżnie je obejrzeć. Zbliżył się do kasy i z ciekawością oglądał wielki otwór, wytopiony w 5-cio calowej metalowej ścianie, jak w maśle, I nagle z ust tego człowieka, zżytego-od najmłodszych lat ze zbrodnią i okropnością, wyrwał się okrzyk zdumienia i grozy. Na wewnętrznym brzegu otworu widniał wyraźnie odbity w twardej stali — odcisk ludzkiej ręki! Siła ręki, która w metalu odbiła się-jak w glinie, musiała być nadludzka, nadprzyrodzona. Na widok tego znaku obecni stanęli jak wryci, przejęci przerażeniem. Nad morderstwem zawisł koszmar jakiejś groźnej, niesamowitej tajemnicy.

ROZDZIAŁ DRUGI.

CO SIĘ STAŁO Z PANEM CORTEM?

Witold, przystojny młodzieniec o ostrych rysach twarzy, nerwowo spacerował po swoim skromnym pokoiku. Pod głębokimi oczyma siniały małe wgłębienia — ślady nieprzespanej, lub źle przespanej nocy. Pokoik był mały i bardzo ubogi. Łóżko, umywalnia, półka z licznymi dziełami naukowymi i stół z pudełkiem tytoniu i gilz. Ktoś silnie zapukał we drzwi. Witold nerwowo zacisnął palce:

—Kto to?

— Telegram.

Witold otworzył. We drzwiach ukazał się jakiś cywilny osobnik wraz z policjantem.

— Pan Witold Dietrich?

— Tak.

— Aresztuję pana.

— Co się stało? Dlaczego?

— Sadzę, że pan wie lepiej ode mnie, co się stało.

— Nic nie rozumiem:.. Ja... Jadwiga?...

— Joanna Dietrichowa, matka pana, została dziś zamordowana. Pan stoi pod zarzutem morderstwa.

Witold zachwiał się. Sine obwódki pod oczyma stały się jeszcze mocniejsze. Wymówił kilka słów, których nikt nie mógł zrozumieć.

— Tak, tak, my wiemy, że pan jest niewinny, — powiedział z ironią agent — ale pozwoli pan, że przeprowadzimy rewizję w tym pokoju, poczym musimy zabrać pana ze sobą.

Witold nie odpowiedział. W oczach jego pojawił się wyraz zdumienia i przerażenia. Błede wargi powtarzały bezmyślnie słowa agenta: „matka... zamordowana... zamordowana...”

Rewizja, której Witold zdawał się nie widzieć, dobiegała końca. Mimo bardzo szczegółowych poszukiwań, nie znaleziono niczego, co mogłoby wskazywać na udział Witolda w zbrodni.

— Pan pozwoli z nami — zwrócił się agent do Witolda.

Witold poszedł za nim bez żadnego oporu, posłuszny jak automat.

* * *

Urząd śledczy. Pokój Nr. 6. Oto miejsce, gdzie Sprawiedliwość toczy swój pierwszy wstępny bój ze zbrodnią, gdzie sprawny, czujny mózg komisarza Twardego ściera się z ponurym i groźnym światem podziemnych tajemnic. Witold widzi przed sobą parę mądrych, spokojnych, świdrujących oczu, które przenikają go na wskroś. Drży, stara się opanować — jakaś ręka podsuwa mu szklankę wody. Sucho, logicznie rzuca pytania komisarz Twardy. Trzeba się opanować, trzeba być przytomnym — myśli Witold, i natęży umysł, aby nic nie zapomnieć, aby się nie poplątać w zeznaniach, aby zrzucić ze siebie koszmar tego potwornego podejrzenia.

— Co robił pan w nocy z środy na czwartek.

Witold prostuje się, głos mu drży, lecz stara się mówić pewnie i spokojnie.

— Od godziny 9.30 byłem wraz z licznym gronem znajomych u mojej znajomej Jadwigi Steckiej, przy ulicy Szybowej 16. Odbywało się u niej przyjęcie z okazji jej imienin. Byłem tam do godziny 2-iej w nocy. Goście rozeszli się już, co prawda o 1-iej, lecz ja, jako dobry znajomy i inżynier Cort, sąsiad Steckiej z przyległego mieszkania zostaliśmy dłużej. O 2-iej wróciłem do swego mieszka-

nia, gdzie pozostawałem do 9-ej z rana. Gdy rano zamierzałem udać się do firmy „Wilcox Brothers”, gdzie prowadzę na godziny korespondencję angielską, zostałem aresztowany.

— Czyście tam dużo pili, czy był pan trzeźwy? Pada pytanie komisarza.

— Najzupełniej, wypilem zaledwie trzy małe kieliszki wódki.

Oczy komisarza mrużą się chytrze, twarz przybliżyła się do twarzy Witolda. Powoli sączy się pytanie:

— A czy nie spotkał pan, wracając, doktora Rydzewskiego?

Komisarz spodziewa się drgnięcia, skurczu mięśni. Tak jest zawsze u najdoświadczeńszych, najbardziej wyrafinowanych przestępców. Odpowiedź Witolda zdumiewa go. Z zupełnym spokojem, obojętnie, nawet z pewnym zdziwieniem, mówi:

— Nie, nie spotkałem. Mieszkam w zupełnie innej stronie.

Komisarz Twardy podnosi się:

— A jednak ukłonił mu się pan o 1.30 w nocy, na schodach przed mieszkaniem pana matki.

Witold szeroko otwiera oczy.

— To fałszywe zeznanie, lub pomyłka. Bez trudu potrafię udowodnić swego alibi. Wystarczy przesłuchać pannę Stecka, lub inżyniera Corta. Teraz rozumiem, dlaczego mnie aresztowano i jestem pewien, że sprawa musi się niedługo wyjaśnić.

Spokój Witolda zachwiał pewnością komisarza. Czyżby doktor Rydzewski naprawdę się pomylił? Jeśliby Witold udowodnił prawdy swych słów — niewinność jego byłaby pewna, a sprawa zabójstwa wdowy zaciemniłaby się beznadziejnie.

* * *

Na twardym tapczanie, w małym pokoiku aresztu śledczego leży Witold Dietrich. Wie, że Urząd Śledczy wezwał na przesłuchanie Jadzię i Corta. Nikt jednak nie chce go poinformować o stanie śledztwa, policjanci unikają rozmów z nim.

Wtem otwierają się drzwi. Witold zrywa się. Wchodzi dwóch posterunkowych. Padają słowa:

— Jedziemy do więzienia śledczego.

— Ciężkie drzwi więziennej celi zamknęły się za przybitym, zrozpaczonym młodzieńcem.

* * *

Poranne wydania dzienników przyniosły obszerne sprawozdania o zbrodni i przebiegu śledztwa. Oto co jedno z najlepiej poinformowanych pism donosiło:

„Zeznania Steckiej zgadzały się całkowicie z zeznaniami Dietricha, że bawił u niej do godziny 2-ej w nocy. Zeznania innych obecnych na przyjęciu potwier-

działy również, że nie wychodził z mieszkania do godziny 1-ej, o której goście się rozeszli. Władze śledcze powzięły jednak pewne podejrzenia, co do uczciwości zeznań Steckiej, wobec możliwości jej uprzedniej zмовy z Dietrichem, jako zainteresowanej w udaniu się zbrodniczego planu. Wobec tego powstała konieczność przesłuchania również inżyniera Corta.

Wówczas dokonana sensacyjnego odkrycia, że Cort znikł. Od czasu przyjęcia u Steckiej nie było go w domu i mimo najusilniejszych poszukiwań nie udało go się odnaleźć. Do czasu, więc odnalezienia tego świadka Dietrich pozostać musi w więzieniu, chyba, że śledztwo wykaże jakieś nowe, oczyszczające go okoliczności."

* * *

Gazeta wysunęła się z rąk Jadzi. Śliczna twarzyczka przesłoniła się chmurą troski i zadumy. W jej główce kotłowały się najrozmaitsze przypuszczenia, pomysły, podejrzenia. Czuje się opuszczona, przybita strasznym nieszczęściem. Wierna wilczyca Lina leży u jej stóp i patrzy w oczy swej pani, jakby rozumiała i czuła jej nieszczęście.

— Uratujemy pana Witolda, prawda, musimy go uratować — mówi Jadzia, gładząc łeb psa. A Lina, jedyny sprzymierzeniec, kładzie jej głowę na kolana.

Jadzia postanawia odnaleźć inżyniera Corta, tego jedynego człowieka, którego zeznania mogą uwolnić Witolda. Cort! Jadzia dziwnie nie lubi tego inżyniera o manierach prostaka i jego dziwnego sposobu mówienia, pełnego ironii i nie-domówień i jego wąskich chytrych oczu. Kiedyś, jeszcze zanim poznała Witolda, Cort kochał się w niej, narzucał się jej ze swym uczuciem. Jak dobrze pamięta Jadzia tę okropną chwilę, gdy jego tłuste, silne ręce ścisnęły ją jak kleszcze, a grube wargi przywarły do jej szyi i zaczęły się obsuwać coraz niżej. Pamięta, jak wówczas krzyknęła, ostatnim wysiłkiem wyrwała się i pokazała mu drzwi. A Cort uśmiechnął się wówczas, popatrzał na nią jakoś dziwnie i spokojnie wyszedł. Od tego czasu utrzymywała z nim Jadzia tylko chłodne, towarzyskie stosunki.

Teraz potrzebowała tego człowieka, potrzebowała go bardzo. 'Tylko gdzie go szukać? Wtem Jadzia drgnęła. Błysnęło jej w myśli jakieś bardzo odległe wspomnienie. Jadzia widzi jakaś pusta, boczna ulicę, późnym wieczorem, oświetlona skąpo gazowymi latarniami. Obok niej idzie inżynier Cort. Stara się być dowcipnym, prawi jej komplementy, chce się jej podobać. Proponuje jej, żeby obejrzała jego mały kawalerski pokój, który niedawno sobie urządził. Uspakaja ją: „Ależ nie, niech się pani nie oburza! Chciałem tylko pani pokazać niesłychanie ciekawy zbiór kaktusów i bardzo oryginalne urządzenie mego pokoju." Jadzia opiera się stanowczo. On namawia cicho, uparcie, wytrwale. „O, niech pani spojrzy, to tu.“ Jadzia patrzy. Zwykły, szary, murowany dom. Na górze, w facjatce pali się światelko. „Czemu się tam pali, gdy pana niema?" Chwila zmieszania: „Ach, zapomniałem zgasić." I gorące, przekonujące namowy. Jadzia wraca: „Idziemy do domu", mówi energicznie. Cort mruczy coś, ale re-

zygnuje.

Tak, tak, Jadzia przypomina to sobie dokładnie. Ale jak znaleźć ten dom, jak znaleźć ten tajemniczy pokój? I czy odnajmuje go jeszcze Cort? A może jednak gospodarz, może dozorca domu, mogą o nim coś powiedzieć. Ale gdzie to jest — gdzie, gdzie, gdzie?

Jadzia kurczowo ścisnęła dłońmi skronie. Usiłuje sobie przypomnieć skąd wówczas szli, którądy — myśli usilnie z napięciem, bo czuje, że to jest bardzo ważne, że od tego może zależeć los Witolda i jej. Wtem — przed jej oczyma pojawia się pewien obraz: drzwi z matowego szkła we wnęce muru, u góry, na okrągłym, metalowym pałaku kulista, mleczna lampa, a wyżej duży, błyszczący szyld „cukiernia”, wypisane czarnymi literami na jasno-zielonym tle. Jadzia wstaje. Szybko ubiera się i wychodzi. Przed bramą waha się chwilę — w prawo, czy w lewo... W końcu decyduje się — kieruje swe kroki w prawo, w stronę periferii miasta.

Błada, z podsinionymi oczyma, w pantofelkach i pończoszkach, uwalanych błotem, snuje się Jadzia po podmiejskich zaułkach. Już blisko cztery godziny trwa jej wędrówka. Tyle razy zdawało się jej, że to już tu, na pewno tu, a później następowało rozczerwanie. Jadzia jest zrozpaczona, traci już nadzieję, po bladych policzkach spływają łzy. Opuściła główkę, nie rozgląda się już, nie wysiła oczu. Chce wsiąść w najbliższy tramwaj i wrócić do domu.

Mija ją jakaś parka. Jadzie uderzają słowa mężczyzny:

— Pójdziemy do naszej cukierenki.

Przenika ją nikła nadzieja. „Spróbuje po raz ostatni”, myśli, i idzie za nimi. Młoda para idzie szybko. Jadzia z trudnością może im nadążyć. Skręcają w prawo, skręcają w lewo, droga dłuży, się w nieskończoność. Wtem Jadzia wydaje lekki okrzyk. Kiedyś tu już była na pewno, na pewno. Z bijącym sercem rozgląda się dokoła. Cóż to za białe światełko przebija przez mgłę? Coraz bliżej, coraz bliżej. Lekki okrzyk wydziera się z ust Jadzi. Oszklone matowe drzwi, kulista mleczna lampa, duży, czarno-zielony szyld: „cukiernia”.

Tak, to tu. Czwarty, lub piąty dom dalej, po przeciwnej stronie — to ten. Jadzia poznaje ten duży kasztan przed domem, pod którym wówczas stała z Cortem, te niskie okna piwniczne. Wzrok jej wędruje w górę. W okienku facjatki jest jasno. Co teraz zrobić, czy iść na górę, czy czekać, czy zapytać dozorcę?

Nagle światełko w okienku gaśnie. Ktoś wyszedł. Już słyszeć kroki schodzącego z schodów, człowieka. Czy to Cort? Nie — jakaś wysoka, szczupła postać ukazuje się we wnęce bramy. Latarnia uliczna rzuciła jaskrawy blask na twarz wychodzącego. Jadzie przeszedł zimny dreszcz na widok tej dziwnej niesamowitej twarzy. Białe jak papier zapadnięte policzki, blade wąskie wargi, półotwarte, skrzywione wyrazem otępienia i bezmyślności. Bezbarwne, nieruchome oczy, głęboko osadzone w zapadłych oczodołach. Wyjątkową chudość całej postaci, jej niepewny, chwiejący się chód, — nadawały temu człowiekowi wygląd jakiejś niesamowitej zjawy z państwa cieniów. Stał, popatrzał przez chwilę na Jadzie z takim wyrażeniem, jakby jej nie widział, poczem ruszył wolno

naprzód i po chwili rozpląnął się w wieczornej mgle.

Jadzia otrząsnęła się szybko z niemiłego wrażenia. Postanowiła spytać się dozorcę o inżyniera Corta. Już chciała wejść w podwórze, gdy znowu usłyszała kroki w klatce schodowej. Zatrzymała się na chwilę. W bramie ukazała się znajoma, barczysta sylwetka. Tak, to Cort! Jadzia krzyczy:

— Panie inżynierze, panie inżynierze!

Cort odwraca się gwałtownym ruchem. Jadzia spogląda na jego twarz i truchleje, mimo woli cofa się, zasłania się ręką... Twarz Corta wykrzywia skurcz zwierzęcej wściekłości. Skurczony, z zaciśniętymi pięściami, przybliżył się do śmiertelnie przerażonej dziewczyny. Żuje w ustach chrypliwym głosem jakieś groźby, czy przekleństwa. Jest coraz bliżej, pięść zdaje się już unosić do ciosu. Nagle przerażająca maska na twarzy Corta pęka, pojawia się miły, grzeczny uśmiech. Ręka podniesiona jak do ciosu uprzejmym ruchem zdejmuje kapelusz:

— Dobry wieczór, panno Jadziu. Na kogo tu czekamy?

Jadzia przez chwile milczy. Ten okropny, blady człowiek, który wyszedł przed chwilą, teraz ta wściekłość Corta — napawają ją jakimś nieokreślonym lękiem.

— Widzę, że jest pani bardzo zdenerwowana — ciągnie współczująco Cort.

— No, rozumiem to zupełnie. Ale jestem pewien, — mówi z dziwnym uśmiechem — że sprawa niedługo się wyjaśni.

— Właśnie w tym celu pana szukałam!

— Tak, tak i znalazła mnie pani aż tu! Ho, hol Niebezpieczny z pani detektyw. Gdybym miał coś; na sumieniu — śmieje się głośno Cort — wolałbym nie mieć z panią do czynienia. Ale do rzeczy. Właśnie dziś wyczytałem w gazecie, że moje zeznania są konieczne dla wykazania alibi Witolda. I oto widzi pani, właśnie wybieram się na policję, aby zeznawać.

— Ale dlaczego pan znikł? Gdzie się pan ukrywał?

— Ukrywał się? Najzwyczajniej w świecie chciałem przez parę dni w spokoju popracować nad pewnym udoskonaleniem licznika elektrycznego. W takich razach zawsze przenoszę się na parę dni do mojej pustelni. Ot i całe „tajemnicze zniknięcie“, które tak sensacyjnie przedstawiły nasze gazety. Dziwię się tylko, że pani mnie aż tu znalazła. Naprawdę, świetna pamięć.

Jadzia ucieszyła się. Cort się znalazł. Witold wyjdzie na wolność. Te wszystkie ponure myśli, które ja dotąd gnębiły, to po prostu płód podrażnionych, napiętych do ostateczności nerwów. Trzeba się uspokoić, opanować się!

— Tak — mówi Jadzia, próbując się uśmiechnąć — rzeczywiście jest to prostsze, niż wyglądało. Teraz sprawa się wyjaśni. Idziemy już do Urzędu Śledczego.

Na twarzy Corta ukazał się dziwny, złośliwy uśmiech. Przybliżywszy się do Jadzi, i patrząc na nią uporczywie, powiedział wolno, wyraźnie, cedząc każdą sylabę:

— Rozumie się, że nie robię tego dla Witolda. Wie pani, że kiedyś żywiłem dla niej miłość. Dziś pozostała szczerą sympatią, dlatego chcę, by pani była

szczęśliwa, choćby z innym. Czy nie jestem dobry? Mógłbym przecież tak łatwo powiedzieć, że wyszedłem o pierwszej. Wobec ogólnych nastrojów na pewno uwierzono by mi. A wtedy — he, he, he, Witold poszedłby na szubienicę! Matko-bójstwo z premedytacją w celach zysku! A pani byłaby oczywista współniczka! Czy nie prawda, że mógłbym panno Jadziu?

Jadzia patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma. Przerazenie ścisnęło jej gardło.

—No, no, niech się pani nie boi — rzekł żartobliwie Cort. — Było tam może coś kiedyś, co mi zostawiło trochę goryczy, ale to przecież nic nie znaczy. Nie zna się pani na żartach. No, chodźmy...

ROZDZIAŁ TRZECI.

ĆWIERĆ MILIONA ZŁOTYCH

Towarzystwo ubezpieczeń „Securitas“. Długi rząd biur. Urzędnicy siedzą pochyleni przy pracy lub bezgłośnie przechodzą przez wielką salę, (wyłożoną matą. Stukają liczydła, maszyny do liczenia, dwa remingtony.

Jadzia pisze list:

„ wyplata należnej panu z tytułu ubezpieczenia sumy zł. 2 5 0.000.— (dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych) odbędzie się w biurze naszym w dniu 20 grudnia r. b. o godz. 12-iej w południe ”

Te 250.000.— zostaną jutro wypłacone Witoldowi. Jadzia myśli o tym, jak je, zużyją, jak się urządzi

* * *

Dzień 20 grudnia. Witold o godzinie 11.40 wyszedł z mieszkania. Chciał zdążyć punktualnie na -godzinę 12-tą do biur „Securitas“. Gdy tylko wysunął się z bramy, w pobliżu ukazała się taksówka.

„Dobrze się jakoś składa" — pomyślał i zawołał auto:

— Handlowa 8, niech się pan pospieszy!

Szofer dał gazu. Taksówka pędziła po wybojach podmiejskich ulic. Witold rozmyślał o tych wszystkich niezwykłych i przerażających wypadkach, których mimo woli stał się bohaterem. Wtem poczuł, że taksówka lekko zwolniła biegu. Zdziwiony, rozejrzył się. Jeszcze przecież daleko. W tej chwili usłyszał z bocznej ulicy warkot motoru, przed boczną szybą zaśniły reflektory. Jeszcze chwila... Witold krzyknął, a potem gwałtowny trzask, wstrząs i cisza.

Wstrząs zrzucił Witolda na podłogę. W pierwszej chwili był oszołomiony wypadkiem. Szybko jednak oprzytomniał. Ruszył jedna noga. Potem druga, zgiał

rękę — trochę go zabolęła. W porządku, jeszcze żyjemy. Wolno podniósł się. Wtedy dopiero poczuł, że potłukł się porządnie. Ręka była spuchnięta. Chciał wyjść z auta, otworzyć drzwiczki — zacięły się. Przez szybkę ujrzał, że już zewsząd nadbiegają ludzie, robi się zbiegowisko. Policjant w granatowym mundurze toruje sobie drogę: „Rozejść się! Rozejść się!“

Dziwne, wszyscy, zaglądają do wnętrza taksówki, nikt nie interesuje się szoferem. Jego plecy znikły gdzieś, musi leżeć przy kierownicy. Policjant gwałtownym szarpnięciem drzwiczek uwalnia Witolda. Witold wyskakuje — boli go trochę ręka od uderzenia. Zagląda do jednej taksówki, do drugiej, obaj szoferzy znikli. Policjant spisuje protokół. Witold spiesznie zeznaje, świadkowie z pośród publiczności też. Ktoś twierdzi, że obaj szoferzy wyskoczyli natychmiast po zderzeniu i wbiegli do bramy domu pod nr. 9. To dom przechodni. Witold myśli o tym, że na pewno się" spóźni. W pobliskiej aptece robią mu powierzchowny opatrunek. Szybkim krokiem rusza w drogę i o godzinie 12: 30 jest na miejscu. Już z daleka Jadzia wstaje, wychodzi mu naprzeciw:

— Czy zapomniałeś czegoś, Witoldzie?

— Jak to „zapomniałeś“?

— No, po cóż wracasz?

— Jadziu kochana, cóż ty pleciesz? Skąd mam wracać, co miałem zapomnieć? Po prostu przyszedłem podjąć pieniądze, spóźniłem się, co prawda trochę, ale nie ze swojej winy.

Jadzia uśmiecha się:

— Wiciu, nie żartuj teraz, bo doprawdy nie mam czasu. Mam moc roboty. Pogadamy sobie wieczorem, a teraz uciekaj.

Twarz Witolda poważnieje. Wolno, dobitnie mówi:

— Jadziu, mnie tu dziś nie było. Jeśli pieniądze zostały podjęte, — to ktoś inny je podjął.

— Wiciu, Wiciu, mój Boże, cóż to się dzieje z nami. Cóż to za okropne rzeczy! Przecież ja sama cię widziałam, sama rozmawiałam z tobą. Chodź ze mną do kasy. Spytamy się kasjera, czy tobie już wypłacił pieniądze. Kasjer na widok zbliżającego się z Jadzią Witolda, uśmiechnął się i zapytał żartobliwie:

— No i co? Czyżbym się pomylił, panie Dietrich? Pewnie panu wypłaciłem ze sto tysięcy za dużo?

— Ja pieniędzy nie otrzymałem — powiedział stanowczo Witold.

* * *

Śledztwo w sprawie tajemniczego zabójstwa Joanny Dietrichowej utknęło na martwym punkcie.

Zeznania inżyniera Corta potwierdziły całkowicie słowa Witolda. Niewyjaśniona była zagadka zeznań doktora Rydzewskiego. Był to człowiek, którego żadna miara nie można było posadzić o kłamstwo. Zelektryzowana publiczność szukała, co dzień w pismach wyjaśnienia niesamowitej tajemnicy, która jak

zmora ciążyła nad miastem. Mimo jednak wszystkich wysiłków zagadka pozostała nierozwiązana. Tajemnicze podjęcie pieniędzy w towarzystwie „Securitas” zaciemniło ją jeszcze bardziej. Wysiłki policji przyniosły tylko stwierdzenie ponad wszelką wątpliwość, że w chwili ich podejmowania, Witolda w „Securitas” nie było. Zainteresowanie opinii publicznej doszło do szczytu. Nie mówiono o niczym innym. Szpalty gazet całego kraju, a nawet zagranicą rozbrzmiewały echem tych wypadków. I oto w tę atmosferę ogólnego naprężenia i podniecenia runęła jak grom nowa potworna wieść.

Trzeciego dnia po podjęciu 250.000.— złotych przez tajemniczego osobnika, chłopcy sprzedający gazety wykrzykiwali na cały głos:

„NOWA. POTWORNA ZBRODNIA! WYMORDOWANIE CAŁEJ RODZINY !“

Nad miastem zawisła groza i przerażenie. Rzeczywiście stała się rzecz okropna: dnia 22-go grudnia o godzinie 10-ej z rana znaleziono bez życia całą rodzinę bogatego bankiera Wandego, Wandę, jego młodą żonę, dwoje dzieci i służącą leżeli w łóżkach w pozycjach, które nie zdradzały śladów jakiegokolwiek przedśmiertnej walki. Skóra ich była tylko nieco szerniała i wydawała jakby lekką woń spalenizny. I tu, jak w zabójstwie Dietrichowej ekspertyza wykazała śmierć na skutek niebywale silnego prądu elektrycznego. Nie natrafiono na żadne ślady włamania. Ustalono jedynie, że starszy dziesięcioletni synek Wandego miał jeszcze przed dwoma miesiącami korepetytora. Z korepetytorem tym miał się jakoby Wandę poważnie posprzeczać a słabe postępy dziecka w nauce i został mu podobno winien pewna sumkę, której mu chciał wypłacić. Korepetytorem tym był — Witold Dietrich.

I tym razem Witold wykazał swoje alibi. Jednakże dwuznaczność tych wszystkich sytuacji wywołała zamęt w władzach śledczych. On, czy nie on? Kto, jeśli nie on? Wzrastało również podniecenie Witolda i Jadwigi. Zwłaszcza Jadwigę prześladowała i doprowadzała do obłędu zmora tych wszystkich zdarzeń. Witold w dwóch miejscach — o tej samej godzinie!... Witold, który nie jest Witoldem!... Cierpiał również Witold, ale ukrywał przed Jadzią swój stan. Czasem, gdy chodził po ulicy, wydawało mu się, że każda z napotkanych osób, to on sam. Postać starca z długą siwą brodą przekształcała się w niego samego, w jego odbicie. Ten, tamten i każdy z przechodniów — to on!

* * *

Na torze kolejowym panowały nieprzejrzone ciemności. Od czasu do czasu słyhać było tylko stłumione dźwięki. Może to były jakieś odgłosy z odległej o 2 kilometry stacji, a może ze znajdującego się po obu stronach linii lasu. Na poły-skujące szyny padł nagle czyjś cień. Widać było tylko jego kontury. Z głębi toru w stronę stacji, dały się słyszeć kroki — to dróżnik z latarką w reku szedł z kimś

jeszcze.

— Która? — Zapytał dróżnik.

— 14 minut po północy, ojcze.

— Musimy się spieszyć, żeby zdążyć obejść resztę toru. Za 12 minut przejdzie międzynarodowy.

Latarka oddaliła się. Cień skryty w zarośniętym brzegu lasu wynurzył się znowu.

Cień pochylił się na torze. Powoli, ale systematycznie zaczął odkręcać śrubki w spojeniu szyn. Przyłożył ucho do szyny. Już przepływała stłumiona jeszcze, ale coraz bliższa fala dźwięków. Express Warszawa—Berlin zbliżał się. Jeszcze trzy minuty. Już słysząc chrzęst i sapanie. Ostatnia śruba wyjęta. Wtem ktoś całym ciężarem ciała spada na nieznanego zamachowca. Ciszę nocną przerywa gwałtowny okrzyk:

— Józek, ja trzymam tego psubrata. Jazda, łap latarkę i sygnalizuj.

Z boku toru rozgrywała się walka. Człowiek' w urzędowej konfederatce ścisnął tajemniczego zbrodniarza, który starał się wyrwać z tych objęć. Na środku toru stał młody człowiek z latarką w ręku i gwałtownie nią wymachiwał. Olbrzymie cielsko lokomotywy napierało coraz bardziej, nie zwracając żadnej uwagi na sygnały. Coraz bliżej i bliżej krytycznego punktu, który mógł spowodować śmierć kilkuset osób. Młodzieniec, przewany. Józkiem już nie tylko wymachiwał latarką, ale i krzyczał bez związku. Był cały zlany potem śmiertelnego przerażenia. Wreszcie — spostrzeżono. Tam, w lokomotywie, zaczęto gwałtownie hamować bieg. Przy silnym wstrząsie zatrzymał się pociąg, tuż przed odśrubowanym odcinkiem szyny.

Józio, zupełnie wyczerpany nerwowo, zwałił się bezprzytomnie na ziemię. Leżał, nic nie mówiąc, a tylko rżęząc.

Z nerwowo sapiącego pociągu wyskoczył maszynista, palacz, prowadzący pociąg i masa pasażerów, rozbudzonych i przerażonych. Maszynista i kilku pasażerów przybiegło z pomocą dróżnikowi, walczącemu jeszcze na nasypie z przestępcą. Zapewne pod naporem tak dużej przewagi liczebnej zamachowiec zrezygnował z walki. Stał otoczony kilkunastu ludźmi, do których przyłączyli się dalsi pasażerowie, wyrażający zbrodniarzowi swoje oburzenie. Zaciskały się pięści, wznoszono okrzyki i grożono nawet samosądem.

— Kim jest morderca?

— W jakim celu przygotowywał zamach na życie dwustu niewinnych ludzi?

— Szaleniec, czy zbrodniarz?

— Kim jest morderca?

Kilkadziesiąt par oczu przeszywało w ciemności sylwetkę zbrodniarza i gdyby spojrzeniami można- było mordować, zbrodniarz już by nie żył. Wtem ktoś z pasażerów skierował światło latarki w twarz przestępcy. Ktoś krzyknął w zdumieniu i przerażeniu:

— Witold!.. Witold Dietrich!..

W tej samej chwili ręka ujętego zbrodniarza wytrąciła pasażerowi latarkę,

wywołując ciemność. Ci, którzy otaczali i przytrzymywali go uczuli gwałtowno szarpnięcie się. Wielki cień skoczył w gęstwinę leśną. Z pośród pasażerów i służby kolejowej dano długą salwo strzałów w stronę lasu.

Jadzia z niepokojem spogląda co chwilę na zegarek. Już dochodzi 10-ta a Witolda jeszcze niema. Zwykle przychodzi o 8-ej. Ostatnie zabójstwo Wandego zupełnie ją złamało. Zrozumiała, że istnieje jakaś potężna, a nieuchwytna szajka, która iw niewiadomych jej celach stara się skompromitować Witolda w oczach opinii i władz. Nerwy Jadzi są napięte do ostateczności. Cóż mogło stać się teraz? Najbardziej ponure myśli przychodzą jej do głowy. Może Witolda zamordowano, może leży gdzieś ciężko ranny i wyczekuje pomocy? Jadzia podbiega do wejściowych drzwi, nadśluchuje, czy na schodach nie rozlegnie się znajomy krok. Nic — cisza, głucha cisza. Pół godziny stoi tak już Jadzia, drżąc z niepokoju, bliska płaczu, bezradna. W ten słyszy. Coraz głośniejsze, coraz wyraźniejsze. Idzie ktoś. Lecz czy to Witold? Krok jest jakby zbyt powolny, zbyt ciężki. Nie, to nie on. A jednak zbliża się, już wstępuje na piętro Jadzi, jest blisko drzwi... Cóż to? Zatrzymał się- Jadzia gwałtownie otwiera drzwi. Witold!

Pod drzwiami stoi Witold. Uśmiecha się, lecz jest bardzo blady, ubranie ma zabłocone i pomięte.

— Co się z tobą działo — woła Jadzia — gdzieś był? Dlaczegoś się spóźnił? Ja tu umierałam z niepokoju.

Powolnym krokiem wszedł Witold do pokoju i ciężko usiadł.

— Daj mi przede wszystkim szklanekę gorącej herbaty — później opowiem ci, co się ze mną działo.

Jadzia zakrzętała się w kuchni. Po chwili Witold pił z widoczną rozkoszą gorący płyn i z wilczym apetytem pochłaniał grube kromki chleba z masłem. Pod wpływem jedzenia i ciepła ożywił się wyraźnie, a na zmarzniętej, bladej twarzy pojawiły się rumieńce. Przełknął ostatni kęs chleba, zapalił papierosa i rzekł z uśmiechem do Jadzi:

— No, a teraz posłuchaj. Cały dzisiejszy dzień byłem w rękach moich prześladowców. Nie przerywaj — dodał, widząc przerażoną minę Jadzi — opowiem ci wszystko po kolei.

— Z rana — rozpoczął Witold — gdy wybierałem się do biura, rozległ się dzwonek telefonu. Wezwano mnie. Jakiś obcy mi głos zapytał raz jeszcze: „czy to pan Dietrich przy telefonie?” Potem ten pan opowiedział mi, że jest prywatnym 'detektywem i że natrafił na ślad zabójcy mej matki. Rozumiesz, jak mnie to wstrząsnęło. Chciałem dowiedzieć się szczegółów, lecz mój rozmówca przez telefon nie chciał mi nic wyjaśnić. W końcu powiedział, że za pół godziny, czyli o 9-ej będzie na mnie czekał na rogu Jasnej i Smugowej i tam będzie mi mógł ostatecznie poświęcić parę minut czasu. Chociaż jest to bardzo daleko i do biura nie mogłem już zdążyć, zgodziłem się bez wahania. Rzeczywiście, punktualnie o 9-ej w umówionym miejscu czekał na mnie jakiś jegomość. Był to młody mężczyzna, atletycznie zbudowany, ubrany elegancko. Szeroka twarz miała wyraz dość inteligentny, lecz chytre latające oczy nie wzbudzały specjalnego zaufania.

Z miejsca podszedł do mnie, wymówił swoje nazwisko, którego nie dosłyszałem i podał mi rękę. I jednocześnie zadał mi lewą ręką potężny cios między oczy. Tysiąc gwiazd zatańczyło mi przed oczyma. Uczułem jeszcze, że jakieś potężne ramie chwyta mnie wpół, poczym straciłem przytomność.

— Jak to — zawołała Jadzia — i nikogo nie było na ulicy, żadnych świadków?

— Owszem, owszem — w momencie, kiedy się do niego zbliżałem, widziałem w bramie domu po przeciwnej stronie jakichś dwóch drabów. Pozytem ulica była zdaje się pusta. Jest to przecież zaułek na peryferiach, kończący się ślepo i szczególnie o lej porze jest tam jakby wymiecione. Miejsce i moment wybrano doskonale. A tych dwóch drabów miałem przyjemność poznać, gdy wróciłem do przytomności. Ale o tein później.

Gdy ocknąłem się, uczułem bardzo silny ból głowy. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, co mi się przydarzyło. Powoli otworzyłem oczy i ze zdumieniem stwierdziłem, że leżę na kanapie w małym, niskim pokoiku. Przy mnie na krześle stała karafka z wodą i szklanką. Sięgnąłem ręką. W tej chwili usłyszałem za sobą, od strony okna gruby głos:

— No, ptaszek się budzi. Zawołaj-no profesora.

Uniosłem się nieco i obejrzałem się. Pod oknem siedziało dwóch mężczyzn o grubych, ordynarnych twarzach. Jeden z nich wstał i wyszedł. Drugi siedział w milczeniu. Zacząłem rozglądać się po pokoiku. Nic szczególnego nie zauważyłem. Prosty stół, parę krzeseł, kanapka, na której leżałem, umywalka. Na stole spostrzegłem wykonane tuszem na bristolu jakieś rysunki. Wyteżyłem wzrok — były to jakieś techniczne plany, projekty maszyn, czy coś podobnego.

Nie odzywając się słowem do pilnującego mnie draba, zacząłem rozmyślać nad swoją sytuacją. Czegóż oni chcą ode mnie, co mają zamiar ze mną zrobić? Byłem całkowicie bezbronny w rękach tych bandytów. Czyżby byli to ci sami, którzy zamordowali moją matkę i bankiera Wandego? Niecierpliwie oczekiwałem przybycia „profesora”, spodziewając się, że to mi coś wyjaśni.

Nagle otworzyły się drzwi. Ukazał się w nich drab, który przed chwilą wyszedł, a za nim jakiś mężczyzna w masce zakrywającej całą twarz. W milczeniu usiadł przy stole, świdrując mnie z za maski oczyma. Zrozumiałem, że był to „profesor”, herszt, bandytów. Przez długą chwilę patrzeli na mnie bez słowa.

— Czegóż wreszcie chcecie ode mnie? — Spytałem, zwracając się do herszta.

Ku mojemu zdumieniu ten nie odezwał się ani słowem. Dal znak ręką jednemu ze swych pomocników, a ten wyrecytował:

— Żądam, aby pan w ciągu tygodnia wyjechał z kraju i nigdy tu nie powracał. W przeciwnym razie...

— Wyjechać — odpowiedziałem — nie mogę. Tu pracuję, tu kształcę się, tu wreszcie mieszka moja narzeczona, której nie opuszczę. Zagranicą nie mógłbym stworzyć egzystencji ani sobie, ani jej.

— Żądamy — ciągnął dalej drab — aby pan wyjechał właśnie bez niej, aby pan wyjechał sam. Dopiero po roku będzie pan mógł ją sprowadzić, jeśli ona

zechce. Tymczasem rozejrzy się pan za zarobkiem.

Żądanie bandytów zdumiało mnie. Zastanawiające również było, że zamaskowany „profesor” nie puścił jeszcze pary z gęby. Chcąc go zmusić do mówienia, spytałem zwracając się wprost do niego.

— Pytam pana, jako wodza, co zrobicie ze mną, jeśli odmówię?

Lecz profesor uparcie milczał. Natomiast drab, który dyktował mi warunki rzekł:

— Niech się pan nie zwraca do profesora. On nie zaszczyca pana odpowiedzią. Dajemy panu do wieczora czas do namysłu. Jeśli się pan zgodzi na wyjazd, to dobrze. Jeśli nie — to pozbedziemy się pana inaczej.

Obydwa draby roześmiały się głośno. „Profesor” milczał.

W tej samej chwili uczułem gwałtowny wstrząs. Podłoga w tajemniczy jakiś sposób usunęła się z pod tapczanu, na którym leżałem. Jednocześnie tapczan powoli, niby na linach, zaczął się opuszczać w dół. Wionęło na mnie z dołu stęchłym powietrzem piwnicy. Zjeżdżałem coraz niżej, do jakiejś ciemnej komórki. Z góry usłyszałem jeszcze głos.

— Niech się pan namyśla! Wieczorem przyjdziemy po odpowiedź!

Po chwili deski nad moją głową zasunęły się, tapczan wraz ze mną wylądował na kamiennej podłodze komórki. Natychmiast zerwałem się na nogi i zacząłem rozglądać się naokoło. Mała żarówka rozpraszała ciemności. Komórka była tak niska, że gdy wyciągnąłem rękę, dotykałem desek sufitu a podłoga miała mniej więcej trzy metry wzdłuż, i szerz. Ściany były z nietynkowanych cegieł. Położyłem się i zacząłem rozmyślać nad swoją sytuacją. Zmęczony ciężkimi przejściami, w końcu zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie jakiś gruby głos:

— Hej tam! Obudź się!...

Otworzyłem oczy. Ujrzałem, że jedna z cegieł w ścianie była wyjęta, odkrywając głęboki otwór. Uniosłem się lekko... Z otworu padło pytanie:

— Czy zgadza się pan na nasze warunki?

— Nie! — Odrzuciłem stanowczo.

Teraz nastąpiła chwila ciszy. Usłyszałem naradzające się, stłumione głosy.. Nagle poczułem wyraźny zapach eteru. Stawał się on coraz silniejszy. Zrobiło mi się słabo. Chciałem krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle. Straciłem przytomność,

Pierwszym uczuciem, jakiego doznałem było przejmujące zimno. Ocknąłem się na jakimś pustym polu, między grudami zamarzłej ziemi, Z trudem podniosłem się. Byłem wyczerpany, zziębnięty, w uszach mi szumiało. Nic wiedziałem gdzie jestem, poszedłem, więc w stronę migających zdała światełek. Tam spotkałem jakiegoś człowieka, dowiedziałem się o drogę do miasta i resztą sił przywlokłem się tutaj.

Przez cały czas opowiadania Jadzia siedziała nieruchomo, wpatrując się uparcie w twarz Witolda. Wtem ktoś zapukał. Zerwała się.

We drzwiach stanęli dwaj mężczyźni: policjant i cywil.

— Pan jest Witoldem Dietrichem, — zwrócił się cywil do Witolda — aresztuję pana...

— Za co?! Co znowu! — zawołali jednocześnie Witold i Jadwiga:

— Za usiłowanie dokonania zamachu na ekspres Warszawa — Berlin...

ROZDZIAŁ CZWARTY.

JADZIA PRZY PRACY...

W Jadzi jakby wszystko się odmieniło. Zdecydowanym wysiłkiem woli postanowiła otrząsnąć się z apatii, która ją często opadała. Rozumiała, że tylko jej wola i jej wysiłek potrafią wydobyć Witolda z za krat, że tylko ona rozplącze ten tajemniczy węzeł, w który nieznane siły uwikłały jego i ja.

Ktoś, bowiem musi być, kto popełnił ten łańcuch zbrodni i przestępstw. Joanna Dietrich, podjęcie pieniędzy. Wande, zamach na pociąg, Warszawa—Berlin... Za każdym razem władze ustalały, że to on, Witold Dietrich był sprawcą. A z drugiej strony Witold wskazywał szczegóły, dowodzące, że on nie mógł tych zbrodni popełnić. Coraz silniej jednak urabiała się opinia, że Witold stosuje w swych zbrodniczych planach różne wyrafinowane tricki, że z góry stwarza okoliczności, które mają dowodzić jego niewinności. Były momenty, kiedy, i Jadzia ulegała tej sugestii i niemal wierzyła sensacyjnym tytułom gazet wieczornych.

— Jakkolwiek jest — pomyślała — muszę ustalić prawdę, choćby była najgorsza...

W uporze jednak, z którym postanowiła działać, tkwiła wiara w całkowitą niewinność narzeczonego.

Tego dnia Jadzia nie poszła do biura, a Zresztą dyrekcja „Securitas“ była przygotowana na zaniebdywanie się jej w pracy. Panna Stecka cieszyła się opiją bardzo sumiennej urzędniczki. To też dyrekcja, orientując się w zagadkowej sytuacji, w jakiej znalazła się ich pracownica, przez palce patrzyła na jej uchybienia. Dyrektor Brokner powiedział jej nawet po prostu, że do czasu wyświelenia sprawy, może swobodnie przychodzić lub nie przychodzić do pracy. Tego, więc dnia poszła Jadzia do Urzędu Śledczego. Komisarz Twardy przyjął ją nie bez złośliwości:

— Pani w sprawie swego chłopca? No tak, wiemy, niewinny, alibi... Ale silny chłop z Witolda Dietricha, — Twardy zaczął mówić z goryczą i pasją — na torze Warszawa—Berlin wyrwał się z otaczającej go i trzymającej gromady. Silny chłop!

— Pan komisarz wierzy? — Zapytała Jadzia.

— Czy wierzę? Droga pani... Miałem jeszcze wątpliwości po zabójstwie pani Joanny Dietrich. Ale wątpliwości te rozwiązał już mord na rodzinie Wandego. A

kiedy pan Witold przyszedł do „Securitas“ po raz drugi inkasować ubezpieczenie... Uważa pani, dwa razy podjąć polisę ubezpieczeniową po zamordowanej przez siebie matce...

— Pan Komisarz jest pełen taktu, — zauważyła z godnością Jadzia.

— ...I potem — ciągnął dalej Twardy nie zważając na docinek — i potem próba zamachu na pociąg...

Twardy się uniósł:

— Pani wie, dwustu dwudziestu pięciu pasażerów wiozł ekspres Warszawa — Berlin!

— Pan Komisarz wierzy? ...

— Jakże mam nie wierzyć? Dietrich opowiadał nam w śledztwie jakieś niemądre banialuki o tym, że w czasie zamachu był gdzieś uwięziony, jakieś terefere kuku o jakimś tajemniczym profesorze. Ale gdzie był, tego nie wie... Moja pani, my nie wierzymy tym bajeczkom o porwaniu i uwięzieniu. Witold Dietrich dokonał zamachu! Witold Dietrich chciał zamordować dwustu dwudziestu pięciu niewinnych ludzi! To nie jest pospolity zbrodniarz! To bestia!...

Twarz komisarza kipiała gorącem. Jadwiga była nieporuszona. Nic na jej twarzy nie wskazywało reakcji na zachowanie komisarza. Była zimna i wyniosła. Jej zachowanie jednocześnie mroziło i mitygowało komisarza.

— Czy mogę prosić Komisarza o akta sprawy?

Twardy nie mógł patrzeć wprost w oczy pięknej kobiecie.

— Akt dać pani nie mogę. Ale w miarę możliwości służę pani szczegółami. Proszę, niech pani pyta...

— O której godzinie zatrzymano zamachowca?

— O Rodzinie 0.26 miał przez krytyczny odcinek przejść pociąg. Dróżnik, który obchodził torze swoim synem zauważył i unieszkodliwił zbrodniarza na 3 minuty przed nadejściem pociągu.

— Czy przy zbrodniarzu znaleziono jakieś narzędzia, materiały wybuchowe?

— Nie, nic...

— Czym więc zamachowiec usiłował odkręcić śruby?

— Musiał gdzieś porzucić narzędzia, niewiadomo tylko, kiedy, bo schwytano go przy „pracy”, a już ich nie miał. Jest to ciemny punkt...

— Jeszcze jedno pytanie, panie komisarzu. Kim był świadek, który poznał w zamachowcu Dietricha?

Komisarz zawahał się, przez chwilę.

— Po cóż pani ta wiadomość? Ten świadek to osoba zupełnie obojętna, która może sobie nic życzy, by mieszano ją, w tę historię. Zresztą później poznali Dietricha i inni...

— Jednak chciałabym znać to, nazwisko — nalegała Jadzia — przyrzekam najściślejszą dyskrecję.

— No więc powiem pani, jest to wojażer pracujący w firmie „Wilcom Bro-tliers”, tam, gdzie był również zatrudniony Dietrich. Nazywa się Henryk Dumam Mieszka przy ulicy Wałowej 7. Poznał Dietricha od razu!

Jadzia wstała.

— Bardzo panu dziękuję — rzekła, i pożegnawszy się chłodno z komisarzem, wyszła.

Komisarz został z naczelnikiem Urzędu Śledczego.

— Biedna dziewczyna — mruknął, przerzucając akta sprawy Dietricha — ludzi się jeszcze, że jej chłopak jest niewinny. Ha, ja bym też wolał, żeby tak było!

— I ja bym wolał — dorzucił naczelnik — dziwny zbrodniarz z tego Witolda. Wrażenie robi raczej sympatyczne. Jak nie można wierzyć pozorom!

* * *

Jadzia odczytuje szyldzik: H. Daman. Nerwowo przyciska dzwonek. Żeby go tylko zastać. Młoda dziewczyna otwiera drzwi.

— Czy zastałam pana Damana?

— Owszem — odpowiada dziewczyna, mierząc zdziwionym wzrokiem śliczną, młodą pannę — pani pozwoli do pokoju.

Jadzia czeka. Po chwili otwierają się drzwi. Wchodzi młody, przystojny mężczyzna. Ma miłą, wesołą twarz i poczciwe, niebieskie oczy.

— Czym mogę pani służyć?

Wygląd i zachowanie Damana napełniają Jadzię zaufaniem. To chyba poczciwy chłopak.

Jadzia wstaje i przedstawia się. Daman całuje ją w rękę z młodzieńczą rewerencją.

— Jestem proszę pana narzeczoną Witolda Dietricha...

Twarz Damana przybiera wyraz tak bezdennego zmieszania, że Jadzia wstrzymuje się, aby nie parsknąć śmiechem.

— Ach tak, ach tak — bełkocze Daman — tak, okropne, okropne...

— Rzeczywiście okropne — podchwytuje Jadzia — właśnie w tej sprawie chciałam z panem pomówić. Jakie jest zdanie pana o tej całej historii z zamachem kolejowym?

— Hm! Ta cała sprawa jest dla mnie zupełnie niepojęta. Witold był spokojnym, miłym chłopcem, lubianym przez cały personel. Nigdyśmy nie wierzyli, że to on zabił matkę i Wandego i serdecznie żeśmy się cieszyli, gdy wykazywał swe alibi. Ale teraz... Widziałem go przecież na własne oczy! My zaczynamy przypuszczać, że Witold jest po prostu obłąkany. Bo jakież pobudki mogły go skłonić do tak strasznej zbrodni? Być może, że okropne przejścia ostatnich tygodni odbiły się na jego umyśle.

— A więc jest pan zupełnie pewien, że to był Witold?

— Tak, to nie ulega wątpliwości. Zresztą później poznali go przecież i inni.

— A czy na miejscu zamachu nie zauważył pan w zachowaniu Witolda nic dziwnego, co by pana specjalnie uderzyło?

Daman zamyślił się.

— Wie pani — rzekł po chwili — zauważyłem coś, co właśnie nasunęło mi myśl o jego chorobie umysłowej. Gdy po schwytaniu go na torze Witold wyrwał się, aby uciec, ja nadbiegłem na pomoc, nie wiedząc jeszcze, że to on. Witold spojrzał mi prosto w twarz. I wówczas zachował się bardzo dziwnie. Byłem jedynym człowiekiem wśród obecnych, który go znał i powinien był starać się ukryć swą twarz przede mną. A tymczasem Witold, widząc mnie, nawet nie drgnął, zachowywał się zupełnie tak, jakby mnie nie znał, jakby nigdy nie widział mej twarzy. Mój widok, mimo, że ja mogłem obalić każde jego alibi, nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. To jest bardzo dziwne. Niech się pani postara o ekspertyzę psychiatryczną.

— Ach tak — powtórzyła w zamyśleniu Jadzia — zamachowiec zachowywał się, jakby pana nie znał. To rzeczywiście dziwne.

— I dziwne jest jeszcze jedno. W biurze Witold uchodził za słabszego fizycznie od innych kolegów. Siła zaś, którą wykazał podczas szamotania, była niezwykła, atletyczna. Silnych chłopów odrzucał jak piłki. Ja łączę to z poprzednim faktem. Podobno siły szaleńców, gdy się ich chce obezwładnić, podwajają się i potrajają.

— Tak i to jest bardzo dziwne. A teraz niech pan się zastanowi nad jeszcze jedną rzeczą. Jeśli on nawet pana nie poznał, to musiał przecież usłyszeć pana głośny okrzyk: „Witold! Witold Dietrich!” Wiedział więc, że jest poznany. I po swojej ucieczce, miast natychmiast wyjechać lub ukryć się gdzieś, najspokojniej w świecie przyszedł sobie do mnie gdzie oczywiście bez trudu policja odnalazła go tego samego wieczoru. A przecież musiał sobie zdawać sprawę, że grozi mu conajmniej długoletnie więzienie.

— No, oczywiście. Powtarzam pani, że moim zdaniem badanie psychiatryczne wykaże niewątpliwie chorobę umysłową. I to jedynie może go uratować. Być może, że da się go jeszcze wyleczyć i wszystko skończy się dobrze.

— A czy zauważył pan jeszcze kiedyś podczas pracy w biurze, jakieś objawy nienormalne u Witolda?

— Nigdy — odparł stanowczo Daman — był to zupełnie spokojny, zrównoważony pracownik. Nawet przeciwnie, wykazywał w pracy nieprzeciętną bystrość i inteligencję. Nie mylił się nigdy, szefowie byli z niego bardzo zadowoleni. Widocznie jest nienormalny tylko na jednym punkcie. To się zdarza.

* * *

Słowa Damona utwierdziły Jadzię jeszcze mocniej w wierze w niewinność Witolda. Na razie jednak nie mogła natrafić na żaden ślad, któryby mógł 'doprowadzić; do rozwikłania straszliwej zagadki. Chciała pomówić z Witoldem, sadziła, że ta rozmowa mogłaby jej wiele wyjaśnić, lecz policja nie pozwalała go odwiedzać. Komisarz Twardy powziął pewne podejrzenia wobec Jadzi i dlatego nie chciał pozwolić na jej spotkanie z Witoldem. Jadzia była zdana na własne siły w walce z tajemniczą potęgą zbrodniarzy. I byłaby może opuściła rękę, gdyby nie

nowa okoliczność, która stała się punktem wyjścia dla nowych poszukiwań.

Pewnego dnia zatelefonował do Jadzi jakiś mężczyzna o głosie zupełnie obcym, przedstawił się, jako detektyw prywatny i zapowiedział swoją wizytę na określony dzień i godzinę. Jadzia czekała na niego niecierpliwie, przeczuwając, że te odwiedziny wyjaśnią coś, pchną sprawę naprzód.

Rozległ się energiczny dzwonek. Jadzia zerwała się i pobiegła do drzwi. Wszedł wysoki, przystojny mężczyzna:

— Wilski jestem — przedstawił się — przychodzę pomówić z panią w sprawie pana Dietricha.

Jadzia poprosiła go do pokoju, przyglądając mu się ciekawie. Elegancki, mocny brunet, angielski wąsik, blada, wygolona twarz.

— Może pan — rzekła Jadzia — pomoże mi wreszcie rozwikłać tę okropną tajemnicę. Nic wiem już sama, co mam myśleć. Ale chcę za wszelką cenę uratować Witolda.

Wilski uśmiechnął się lekko:

— I ja do tego dążę! I ja jestem przekonany o jego niewinności. Czy ma pani pewien określony pogląd na całą tę sprawę, pewien plan działania?

— Niestety nie. Wiem jedynie, że zbrodniarze chcą się go pozbyć za wszelką cenę. Nie wiem jedynie, po co...

— Właśnie! — Podchwycił Wilski - Nie wie pani po co! Tego i ja na razie nie wiem. I to jest właśnie najistotniejsze zagadnienie całej sprawy! Gdybyśmy wiedzieli, dlaczego chcą się go pozbyć, wiedzielibyśmy bardzo wiele...

— No tak, ale jak się o tym dowiedzieć?

— Hm... Oczywiście, nie będzie to łatwe. Mam jednak pewną myśl. Czy nie uważa pani, że byłoby dość ciekawe oszukać po prostu zbrodniarzy, wprowadzić ich w błąd, pozornie, lub chwilowo usunąć gdzieś Witolda. Sądzę, że miałyby to wiele dobrych stron. Po pierwsze uchroniłyby się go od stałego niebezpieczeństwa śmierci, bo kto wie, czy zbrodniarze nie chcą posunąć się aż do zabójstwa... Po drugie należy się spodziewać, że wówczas wyjdzie wreszcie na jaw, w jakim celu właściwie zbrodniarze chcieli go się pozbyć. Dziś nie możemy nawet przewidzieć, jak wiele światła mogłoby to rzucić na sprawę.

— Może ma pan i rację — odrzekła Jadzia — ale jak to zrobić? Witold jest teraz przecież uwięziony.

— Uwięziony, racja. I to, że siedzi, jest już realizacją planu złoczyńców. Przecież wszystko wskazuje na to, że chcą go skompromitować, a nawet doprowadzić do wyroku śmierci. Jednakże przewiduję możliwość poważnego zwrotu w śledztwie i wypuszczenia go na wolność. I powiem pani otwarcie: uważam, że natychmiast po wyjściu z więzienia powinien wyjechać zagranicę. Ustąpić z pola złoczyńcom! Niech pokażą, na co im to było potrzebne!

Jadzia drgnęła i podniosła wzrok na gościa.

— Wyjechać? — Pomyślała — ależ to kazali mu już inni. Czyżby ten....?

Przyjrzała mu się badawczo. W tej chwili wydał jej się niesympatyczny. Podejrzenia jej rosły.

— Czyż koniecznie musi wyjechać zagranicę?, Nie wystarczyłby wyjazd gdzieś na wieś, na prowincję, lub w ogóle ukrycie się gdzieś w mieście?, Chodzi przecież tylko o to, aby złoczyńcy myśleli, że wyjechał.

— Ha, ha — roześmiał się głośno Wilski — uważa ich pani za porządnych durniów. Może być pani zupełnie pewna, że Witold ma niejednego opiekuna, który śledzi każdy jego krok. Nie oszuka ich pani na pewno. Niech mi pani zaufa...

Wilski nachylił się i łagodnie ujął ją za rękę:

— Jest pani teraz sama i bezbronna i nie zna pani metod prowadzenia śledztwa. Rozumiem, że ciężko pani rozstać się z narzeczonym, ale może mi pani wierzyć, że radzę dobrze. Sprawa ta z pobudek fachowych leży mi na sercu niemniej od pani. Ambicja amatora pcha mnie do czynu. Niech, więc pani pozwoli mi sobą kierować i skłoni Witolda do wyjazdu.

Jadzia mimo woli cofnęła rękę. Kobięca intuicja, poparta dziwnym związkiem propozycji Wilskiego z opowiadaniem Witolda — nie pozwalała jej odnieść się do Wilskiego z zaufaniem. Musiała odmówić:

— Nie wiem... Nie zależy to przecież ode mnie. Witold może się po prostu nie zgodzić... Zresztą trudności wyjazdu są tak wielkie, że nie mogę wprost namawiać go.

Wilski odpowiedział ze zniecierpliwieniem:

— Ba! Trudności! Trudności! Cóż za głupstwa! Zdaje mi się, że warto pokonać te trudności dla ratowania narzeczonego. Bardzo mnie dziwi, że pani wysuwa takie argumenty.

— Zobaczą... Na razie przecież sprawa jest nieaktualna'. Witold siedzi w więzieniu.

— Nie może mi, więc pani obiecać, że załatwi pani tę sprawę w ten sposób?

— Obiecać? Po cóż to panu?! Bez Witolda nie mogę się przecież decydować w jego imieniu. Jak Witold wyjdzie na wolność, to wtedy się zobaczy. Ale wątpię...

Wilski wstał i pożegnał się chłodno:

— Dowidzenia pani, sądzę, że jeszcze się zobaczymy — dorzucił głosem, w którym Jadzia wyczuła jakąś fałszywą nutę.

Drzwi za Wilskim zniknęły się. Jadzia stała przez chwilę nieruchomo, jakby się nad czymś zastanawiała. Sprawa była rzeczywiście ciekawa. Skąd ten Wilski tak dobrze wie, że Witold wyjdzie z więzienia? I cała rozmowa była podejrzana. Na początku mówił tylko o pozornym lub chwilowym usunięciu Witolda, a później tak się uparł przy wyjeździe zagranicę. Widać początek rozmowy był dyplomatycznym wybiegiem, aby ją ośmielić, a nie płoszyć nagłą propozycją wyjazdu. Ciekawe, ciekawe...

Jadzia niedługo rozmyślała. Po chwili narzuciła na siebie palto, włożyła kapelusz i wyjrzała przez okno. Wilski był już na ulicy. Jadzia wybiegła z mieszkania i szybko podążyła za nim. Szła w pewnym oddaleniu, aby jej nie spostrzegł. Jej ostrożność okazała się uzasadniona. Wilski w pewnej chwili przystanął i

obejrzał się. Jadzia ledwo zdążyła wskoczyć do bramy, która szczęściem znajdowała się obok. Od tej chwili śledziła go już bardzo ostrożnie. Szli już bardzo długo. Jadzia bacznie przyglądała się ulicom i wbijała sobie w pamięć ich nazwy, aby móc później trafić do celu. Wreszcie wyszli za miasto. Może po godzinie znaleźli się na jakiejś wąskiej uliczce. Na tabliczce widniał napis: „Ulica Przechodnia”. Z jednej strony tej ulicy było puste pole, a z drugiej ciągnął się długi, czerwony mur. Wilski zatrzymał się przed furtką. Jadzia przystanęła również, sądząc, że detektyw otworzy furtkę i wejdzie. Jednak zamiast tego wymówił jakieś słowo, a po chwili drzwi, jak za czarodziejskim zaklęciem, otworzyły się. Wilski wszedł, drzwi zamknęły się. Jadzia była wściekła, że nie dosłyszała tego tajemniczego słowa, które musiało być umówionym hasłem. Dobiegła jej uszu tylko końcówka, coś jakby „trou“ czy „kron“. Jednak poznała adres, który, jak sadziła, przyda jej się w przyszłości.

* * *

Tymczasem, ku rozpaczy Jadzi, sprawa Witolda przedstawiała się beznadziejnie. Żyła nieustannie w potwornym strachu, że ukochany jej zostanie skazany na śmierć, że zaciśnie się na jego szyi złowroga pętla szubienicy. Obecnie cała prasa i opinia publiczna wyrażały przekonanie, że to on dokonał potwornego zamachu kolejowego. Rzeczywiście, była to przecież udowodnione. Widziało go kilka osób, nic mógł wykazać alibi. W historię z porwaniem, którą uparcie opowiadał, nikt nie wierzył ani przez chwilę. Kara śmierci nie ulegała wątpliwości. Były, co prawda w śledztwie pewne luki, jak brak narzędzi do odkręcania śrub, ale te rzeczy nie mogły go uratować. Obrońcy, zgodnie z przewidywaniami Damana, kładli główny nacisk na badania psychologiczne. Wszystkie ich wysiłki szły po linii udowodnienia niepoczytalności ich klienta. Śledztwo dobiegało końca. Sprawa miała się odbyć w najbliższym czasie.

Tymczasem...

Do Urzędu Śledczego zgłosił się pewnego dnia jakiś człowiek, właściciel ślusarni za miastem. W jednej ze starych gazet wyczytał tekst zeznań Witolda, właśnie ową niewiarygodną historię z porwaniem. Otóż zeznał on, że faktycznie krytycznego dnia spotkał wieczorem jakiegoś młodego człowieka, w dość eleganckim, ale bardzo zabłoconym ubraniu. Człowiek ten, który słał się trochę i robił wrażenie zamroczonego czy pijanego, zapytał go o drogę do miasta. Natychmiast skonfrontowano ślusarza z Witoldem. Konfrontacja dała sensacyjny wynik: ślusarz poznał w Witoldzie tego człowieka, który pytał o drogę!

Oczywiście z tą chwilą sprawa przybrała zupełnie inny obrót. Nastąpił zwrot w opinii prasy. Groźne widmo szubienicy zdawało się coraz bardziej oddalać od Witolda. Jadzia odetchnęła: wszystko było na dobrej drodze, przewidywania Wilskiego mogły okazać się słuszne..

I oto nowa sensacja: Witold znikł z celi! Tak! Znikł z zakratowanej celi dobrze strzeżonego więzienia! A co najciekawsze, to fakt, że kraty celi były wytopione przy pomocy bardzo silnego prądu.

Tak, jak przy morderstwie Dietrichowej, Wandego i t. d. Działała tu ta sama tajemnicza ręka...

Natychmiast zorganizowane poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Zdumiewający był fakt, że nikt ze służby więziennej niczego nie słyszał, niczego nie widział. Nigdzie nie znaleziono śladu ludzkiej stopy. Nad miastem zaciążyło przerażenie. Ludzie bali się panicznie jakichś nowych zbrodni i katastrof. Każdy drżał o swoje życie. Ta tajemnicza siła, która w niewytłumaczony sposób popełniała zbrodnię po zbrodni, była, pomimo niez mordowanych wysiłków policji, w dalszym ciągu nieuchwytna i nie było absolutnie żadnej nadziei unieszkodliwienia jej.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

SFALSZOWANY LIST

Jadzia, jak co dzień, zagląda do skrzyni na listy. Jest list. Jadzia ogląda go uważnie. Koperta bez żadnego nadruku, adres wypisany na maszynie. W Jadzi ostatnie tygodnie wyrobiły pewien zmysł śledczy i dużą podejrzliwość. Patrzy na datę — wysłany wczoraj, poczta miejscowa. Otwiera go z ciekawością. Biały papier, bez nadruku ani wodnych znaków, a na nim, pismem maszynowym list;

.W. P. JADWIGA STECKA
w miejscu

Szanowna Pani!

Jestem przyjacielem Witolda ze szkolnych czasów. Został on porwany z celi I uwięziony, Udało mu się jednak zmylić czujność swych prześladowców i zbiegł. Przypadkiem spotkał mnie. Zaopatrzyłem go w pieniądze na natychmiastowy wyjazd zagranicę, gdzie obecnie przebywa. Prosił bardzo, aby Pani natychmiast do niego przyjechała. Niech Pani w najbliższy poniedziałek pojedzie pociągiem odchodzącym z Dworca Centralnego o godz. 3.42 do Katowic. Na dworcu w Katowicach będę Panią oczekiwał. Będę w brązowym palcie i brązowym kapełuszu, w ręku będę trzymał bambusową laskę.

Podejdę pierwszy do Pani I udzielę jej dalszych informacji. Ze względów zrozumiałej ostrożności nie podaję w liście obecnego miejsca pobytu Witolda ani swego nazwiska."

Jadzia głęboko się zamyśliła. Treść listu była naprawdę zagadkowa. A więc jednak Witold zdecydował się wyjechać zagranicę! Może i słusznie... Tam może będzie bezpieczny. Niewiadomo tylko, czy to prawda. Może to jakaś nowa mistyfikacja? Ale jaki byłby jej cel? Czyżby i jej chcieli się pozbyć? Jadzia zastanowiła się, czy nie zanieść tego listu do policji. Ale postanawia nic robić tego. Może zaszkodzi to sprawie. Schowała list do torebki. W każdym razie postanowiła pójść w najbliższy poniedziałek na Dworzec Centralny.

Jadzia, ze zmarszczonym czołem, obmyśla ze szczegółami prawdziwie awanturniczy plan. Po chwili zawołała do pokoju służącą Marysię, młodą dziewczynę. Marysia zna doskonale całą sprawę Witolda i szczerze współczuje z Jadzią. Jest to dobra poczciwa dziewczyna, a przy tym sprytna i inteligentna. Jadzia dała jej do przeczytania list.

— Rozumiesz, Marysiu, mam pewien plan, i ty musisz mi w nim pomóc. Tylko pamiętaj, ani słówka nikomu!

— O, może pani być zupełnie spokojna! Ja nic wygadam się na pewno!

Jadzia zaczęła szeptem rozwijać przed dziewczyną szczegóły planu. Marysia słuchała z zapartych tchem. Policzki jej się zaczerwieniły z emocji, oczy zabłyśły. Gdy Jadzia wreszcie skończyła swe wywody poczciwa dziewczyna wykrzyknęła z radością:

— Tak, tak będzie dobrze! Uda się, uda się na pewno!

Poniedziałek.

* * *

Marysia pomaga przed lustrem włożyć staroświecki żakiecik jakiejś staruszce. Staruszka ma już pewno ze siedemdziesiąt lat. Twarz ma żółta, pomarszczona, włosy siwe, zgięta jest w pół. Na głowie ma olbrzymi kapelusz z piórami, według mody prababek.

— No, wygląda pani doskonale, sam diabeł pani nie pozna — mówi Marysia.

— Nie darmo przez trzy dni studiowałam sposoby aktorskiej charakteryzacji. Więc pamiętaj Marysiu co ci mówiłam. Nie zrób jakiego głupstwa, od ciebie teraz zależy, aby plan się udał. Ktokolwiek by przyszedł — powiesz, że ja wyjechałam do Katowic. Dowidzenia, Marysiu, trzymaj się!

— Dowidzenia, dowidzenia pani! Może pani na mnie polegać. Żeby się tylko pani co złego nie stało! Trochę się boję...

— Nic się nie bój. W tym przebraniu nikt mnie przecież nie pozna.

Jadzia wychodzi i idzie na dworzec schylona, powolnym krokiem zgrzybiałej staruszki.

Na dworcu ruch. Pociąg do Katowic odchodzi dopiero za 25 minut. Jadzia ma dość czasu rozejrzeć się wszędzie. Zagląda do poczekalni pierwszej i drugiej klasy, wygląda oknem na peron. Wreszcie usiadła w poczekalni.

Wtem spostrzegła z daleka jakiegoś pana w brązowym płaszczu. Człowiek ten szedł w stronę bufetu. Jadzia uśmiechnęła się tryumfalnie. Zgadza się! Brą-

zowe palto, brązowy kapelusz, bambusowa laska.

— Nie, ptaszku — szepcze Jadzia — nie pojedziemy do Katowic. Zostaniemy sobie tu. Jeśli kupiłeś już bilet, to niepotrzebnie wydałeś pieniądze.

Tymczasem zbliżał się termin odejścia pociągu. Jegomość ubrany na brązowo co chwila spoglądał na zegarek i zdradzał coraz większe zdenerwowanie. Pociąg już stał na torze, gotowy do odjazdu. W końcu tajemniczy jegomość wyszedł na peron. Jadzia kupiła peronówkę i poszła za nim. Kręcił się niespokojnie po peronie, rozglądał się na wszystkie strony, wreszcie zaczął obchodzić wagony i zaglądać do jednego po drugim. Ody skontrolował wszystkie, mruknął coś z wściekłością pod nosem i bezradnie stanął koło lokomotywy.

Nagle rozległ się gwizdek kolejarza. Pan w brązowym palcie raz jeszcze rzucił okiem na okna wagonów, poczym machnął ze złością ręką i skierował się do wyjścia. Jadzia spodziewała się, że kolejarz kontrolujący bilety, wyrazi teraz zdziwienie. I rzeczywiście:

— Dlaczego pan nie pojechał? — zapytał.

— A bo, psiakość, miałem jechać z jednym kupcem w sprawach handlowych. A ten mi tymczasem nie przyszedł. Straciłem przez niego pieniądze na bilet i dobry zarobek w Katowicach!

Jadzia uśmiechnęła się. Ona wiedziała, kto był tym kupcem. Rola jej nie była jeszcze skończona. Trzeba było teraz wysledzić pana w brązowym palcie.

Przyzwyczajona już do roli detektywa poszła za nim. Nie domyślał się widać zupełnie, że jest śledzony, bo poszedł naprzód, nie oglądając się nawet.

— Zdaje mi się ptaszku, że znam drogę... — Szepnęła Jadzia.

Nic omyliła się. Rzeczywiście, po długiej wędrówce ukazał się przed jej oczyma czerwony mur, z cegły, puste pole po przeciwnej stronie. Teraz dopiero zbliżał się moment najtrudniejszy — podsłuchać hasło! Nieznajomy zatrzymał się przed furtką. Jadzia zupełnie obojętnie, wcale na niego nie patrząc, kuśtykała naprzód brzegiem trotuaru. W obydwu uszach, ukryte pod włosami, tkwiły już małe tubki wzmacniające głos, używane przez głuchoniemych. I gdy mijala nieznajomego, dosłyszała wreszcie owo hasło, otwierające drzwi do tajemnicy — „Elektron”.

Jadzia dzwoni do domu. Marysia otwiera drzwi i przyjmuje ją radosnym okrzykiem:

— No i jak, jak się udało!?

— Udało się — odrzekła Jadzia — ale namęczyłam się porządnie. To nie łatwo chodzić tak długo zgięta wpół. No, a ten pan był tu, prawda?!

— A był! Powiedziałaś, że pani pojechała do Katowic. Pytał się kiedy. Powiedziałaś, jak pani kazała, że miała pani jechać dziś, ale pojechała wczoraj, żeby odwiedzić jedną koleżankę w Katowicach. Powiedziałaś, że bardzo się pani cieszyła, bo dostała pani dobry list, że się pan Witold znajdzie, Gość rozwalił gębę, palnął się w czoło i powiedział z wściekłością:

— Aha, to tak! A to idiota ze mnie!...

— O mało nie wybuchłam śmiechem. Teraz się martwi, że nie pojechał...

— No tak, w porządku — rzekła Jadzia — dzielna z ciebie dziewczyna. Teraz przynajmniej nie będą mnie prześladować, ani mścić się na mnie. Ja jestem przecież w porządku. Pewno będą robić dalsze wysiłki. No, a ja mam chyba prawo pojutrze z Katowic wrócić! Nie mogę przecież na dworcu w Katowicach czekać do nieskończoności na pana w brązowym palcie — roześmiała się. — No, Marysiu, udało się zdobyć hasło, a teraz pomóż mi rozplątać się z tego.

Po dwudziestu minutach zgrzybiała staruszka znowu była Jadzią.

* * *

Jadzia miała rację, mówiąc, że pewno będą robić dalsze wysiłki. Już po pięciu dniach otrzymała list. Gdy go wyjęła ze skrzynki, serce zabiło jej ze wzruszenia. Adres był pisany ręką Witolda! List wysłany był z Pragi Czeskiej. Otworzyła go z gorączkowym pośpiechem. Oto co pisał Witold:

„Droga Jadziu!

Jestem w Pradze. Początkowo chciałem Cię tu sprowadzić za pośrednictwem jednego z kolegów, ale obecnie jestem nawet zadowolony, że tak się złożyło, że nie przyjechałaś. Ja dostałem tu posadę bardzo marną, z której ledwie sam mogę wyżyć. Zresztą, Jadziu, przyznam Ci, że nie wiem czy mam prawo unieszczęśliwić Cię małżeństwem ze mną. Sądzę, że po wszystkim, co się ze mną stało, lepiej będzie dla Ciebie, gdy zapomnisz o mnie. Jesteś zbyt wiele warta, by marnować swe życie ze mną, człowiekiem skompromitowanym i złamanym. Na razie żegnaj mi i bądź zdrowa.

Witold.”

Jadzia po przeczytaniu tego listu wybuchnęła serdecznym śmiechem, Ani przez chwilę nie przeszło jej przez myśl, że Witold, jej Witold, mógł napisać coś podobnego. Znała go zbyt dobrze, znała jego uczucie i przywiązanie do niej. Tym niemniej treść listu mocno ją zastanowiła. Wygląda na to, jakby komuś zależało na rozłączeniu jej z Witoldem. Komuż u licha może na tein zależeć?

Jadzia wyszukała jeden ze starych listów Witolda i porównała charakter pisma. Identyczny. Jeśli jest fałszerstwo, to bardzo misterne. Trzeba, aby list zbadałi eksperci. Nie zwlekając udała się Jadzia do Urzędu Śledczego. Komisarz Twardy powitał ja życzliwiej niż zesłłym razem.

— No, widzi pan, panie komisarzu — rzekła Jadzia z dumą — jednak nie jest znów takie pewne, że Witold dokonał zamachu!

— A no — rzekł komisarz, robiąc mądrą minę — nic nie wiadomo, nie wiadomo. Bada się dalej... A co panią sprowadza do mnie?

— Ten list. Chciałam, byście panowie poddali go ekspertyzie, bo sądzą, że jest fałszywy. Oto macie panowie autentyczne pismo Witolda.

Jadzia podała komisarzowi obydwie listy. Komisarz ogląda oba badawczo.

Czyta.

— Niech pani zaczeka chwilę...

Jadzia usiadła. Serce trochę jej bije.

Po pół godzinie Twardy wszedł z powrotem.

— Tak, — rzekł komisarz — oczywiście, list jest sfalszowany. List ten zatrzymamy. Fałszerstwo jest nadzwyczaj umiejętnie. Musiał to robić pierwszorzędny fachowiec.

Jadzi spadł kamień z serca. Wstała i pożegnała się z komisarzem.

— Być może — rzekła, odchodząc — że niedługo dam wam pewne dane, które pozwolą rozwikłać tę tajemnicę. Zobaczycie wówczas, co potrafię!

* * *

A więc list jest sfalszowany! Komu może zależeć na tym, abym zerwała z Witoldem? Jadzia szuka w myślach. Chyba tylko Cort. Jest to przypuszczenie na pozór nedorzeczne. Cóż może mu na tym zależeć? Chyba wie już dość dobrze, że nie ma się, czego spodziewać. Zresztą znikł gdzieś, nie pokazuje się... Czyż byłby on współnikiem bandy morderców? O to nie można go chyba posądzać. Możliwe jednak, że nadarzająca się akurat „pomyślna” sytuacja nasunęła mu pomysł napisania takiego listu, spróbowania szczęścia. Kto wie? Jadzia przypomniała sobie jego wściekłość, gdy znalazła go wtedy... Teraz ten fakt nabiera specjalnego znaczenia. Coś w tym przecież tkwi. Ale co? Niema rady, trzeba go znowu złapać. Co prawda Cort powiedział w domu, że wyjeżdża na wieś, mieszkanie jego jest zamknięte. Ale może pracuje w swej pustelni, może nie chciał, aby mu przeszkadzano?

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

UL. PRZECHODNIA NR.7

Jadzia znowu odbyła długą drogę do pustelni Corta. Teraz nie błądzi już. Pamięta, którądy się idzie. Już trzeci dzień z rzędu odbywa tę drogę i parę godzin wyczekuje bezskutecznie. Ale tym razem postanowiła nie rezygnować. Czeką już godzinę, a ponieważ światło w facjatce Corta pali się, jest nadzieja, że on w końcu wyjdzie.

Wreszcie, po godzinach cierpliwego wyczekiwania światelko nareszcie zgasło. Rzeczywiście, po chwili Cort wyszedł. Jadzia kierowana jakąś dziwną intuicją i podświadomym niemal, nieuchwytnym podejrzeniem nie podeszła jednak do niego. W pewnej odległości poszła za nim. Szli bardzo długo, mijając nieznanne ulice peryferyjne.

W pewnej chwili Jadzia rozejrzała się naokoło ze zdumieniem. Przecież to tu! Przecież to ta sama ulica! Z jednej strony puste pole, z drugiej czerwony mur!

Tylko, że przyszli tu inna droga, więc mur jest teraz po prawej, a pole po lewej stronie. Tak, tak, nie ulega wątpliwości. Odkrycie Jadzi jest rewelacyjne. A więc rzeczywiście Cort jest w kontakcie z tą bandą, gra jakąś rolę w tej całej historii! Rzeczywiście, zatrzymuje się przed furka... Wymawia jakieś słowo...

* * *

Jeszcze tego samego dnia Jadzia zameldowała się u komisarza Twardego. Treściwie i krótko opowiedziała mu wszystko. Komisarz Twardy słuchał cały czas uważnie, nie przerywając jej: nawet słowem. Tylko na jego wysokim czole rysowała się głęboka bruzda. Poznać było po jego twarzy, że myśli intensywnie. Gdy Jadzia skończyła swe opowiadanie milczał przez chwilę, wreszcie rzekł poważnie:

— Tak. Mamy pani wiele, bardzo wiele do zawdzięczenia. Jest pani do prawdy niezwykle dzielną kobietą. Dzięki pani śledztwo może teraz ruszyć wreszcie z martwego punktu. Sądzę, że dała nam pani wszystkie nici. Zdaję mi się, że ta okropna zagadka nareszcie zostanie rozwiązana.

— Bardzo bym tego pragnęła. Rozumie pan, panie komisarzu, jak bardzo mi na tym zależy, chociażby ze względów osobistych. Sądzę, że trzeba się dowiedzieć, co to za dom...

— Oczywiście! O tym dowiemy się za chwilę. Adres pani zna?

— A naturalnie! Ulica Przechodnia. Przechodnia 7.

Komisarz zadzwonił. Wszedł posterunkowy.

— Przechodnia 7 — rzekł Twardy — proszę się dowiedzieć czyj to dom, od kiedy ma obecnego właściciela, kto tam mieszka, jakie tam są przedsiębiorstwa...

— Za chwilę, panie komisarzu!

Posterunkowy wszedł Komisarz zaczął rozmawiać z Jadzią. Wypytywał ją o wszystkie najdrobniejsze szczegóły, zachwycał się jej dzielnością i pomysłowością.

— Zdaje się nie ulegać wątpliwości — rzekł — że Witold jest uwięziony albo w tym domu, albo w pokoju Corta, albo wreszcie w tym pokoju gdzie się podobno ocknął po pierwszym porwaniu. Przypuszczam, że banda nie dysponuje większą ilością lokali. Zresztą niewiadomo... — Myślał głośno komisarz — ostatecznie niewiadomo przecież nawet, czy w ogóle nie jesteśmy na fałszywej drodze. Choć przyznam, że gdyby i ta zawiodła, straciłbym wszelką nadzieję...

— Nie, panie komisarzu, ta droga nie zawiedzie — rzekła Jadzia z pewnością.

— Możliwe — roześmiał się Twardy, — gdy mamy takiego sprzymierzeńca jak pani, można być spokojnym o rezultat śledztwa.

Do pokoju wszedł policjant.

Załatwione, panie komisarzu. Jest to dwupiętrowy dom, otoczony dość dużym ogrodem. Właścicielem od 26 czerwca ub. roku jest Adam Marwicz, był profesorem elektrotechniki na politechnice. Obecnie prowadzi zupełnie odosobniony tryb życia, wcale prawie nie obcuje z ludźmi. W domu jego poza nim i

dozorczą nikt nie mieszka, chociaż jest tam wiele lokali. Dozorca nazywa się Antoni Bielas, z zawodu jest mechanikiem. Prof. Marwicz utrzymuje się z kapitału.

— Miała pani rację, że ta droga nie zawiedzie — rzekł komisarz Twardy, zacierając ręce — jak to się wszystko cudownie układa. Prąd elektryczny, inżynier Cort, profesor elektrotechniki Marwicz, dozorca — mechanik. Tak, tak. Tylko, że to wszystko wygląda na szatańsko skomplikowaną i doskonale zorganizowaną historię. W ogóle przestępstwa, w których biorą udział ludzie nauki, są zazwyczaj pierwszorzędnie zorganizowane. Mam wrażenie, że nie będzie zbyt łatwo ani bezpiecznie dostać się do domu tego odludka osobom niepowołanym. Ale trudno. Dostać się tam musimy.

* * *

Witold klęczy na podłodze i szuka po raz tysięczny jakiegoś wyjścia z więzienia. Sytuacja niezbyt miła. W jego pokoiku niema nawet okna. Są tylko bardzo grube metalowe drzwi, jak przy kasach pancernych. O otworzeniu ich nie może być mowy. Więżą go tu już od tej fatalnej nocy, nie wie nawet jak długo, czy tydzień, czy dwa tygodnie. Nie dochodzi tu przecież nawet światło z ulicy, tylko u sufitu pali się nieustannie mała żarówka. W małym, kwadratowym otworze w ścianie ukazują się, co parę godzin jakieś metalowe szczypce z talerzem jedzenia. Metalowe szczypce! Nawet nic ręka ludzka, którą możnaby schwytać, przytrzymać. Z początku Witold ciskał się po swym wiezieniu, krzyczał, wygrażał. W końcu uspokoił się. Znajdował się w stanic ostatecznego przygnębienia i rozpacz. Nieraz wydawało mu się, że jeśli ten stan okropnej niepewności potrwa dłużej, wpadnie w chorobę umysłową. Szukał stale jakichś ukrytych sprężyn, czy guziczków, które otworzą mu jego więzienie. Niestety, nie znajdował ich.

Wczoraj wreszcie zdawało mu się, że znalazł jakiś ślad. Ściana w pewnym miejscu nad podłogą wydawała przy pukaniu odgłos głuchy, jak gdyby znajdowało się za nią jakieś puste miejsce. Witold szukał jakiegoś ukrytego sposobu przedostania się do tego korytarza, którego spodziewał się za ścianą. Szukał rozpaczliwie i z uporem, bo widział w tym jedną możliwość jakiejś zmiany, jedyną nadzieję wydostania się na wolność.

W poszukiwaniach swoich zeszkrobywał paznokciami cienką warstwę muru. Obrobił już w ten sposób może metr kwadratowy ściany, z palców spływała mu krew. Już opadał z sił, już chciał przerwać pracę, gdy wtem z ust jego wydarł się okrzyk. Na powierzchni muru ukazało się małe kółko. Mogła to być po prostu główka mocno w ścianę wbitego gwoździa, lecz w Witoldzie odkrycie to wzbudziło najszańsze nadzieje. Ze wzmożoną energią zaczął majstrować koło tego śladu, drapać, skrobać. Mimo wszystkich jego wysiłków kółko nie chciało drgnąć, ściana była nieporuszona. Jednak uparte skrobanie doprowadziło go do nowego odkrycia — z kółka opadły resztki tynku i okazało się, że jest to główka nie gwoździa, ale śruby. To wzmocniło jeszcze nadzieje Witolda. Śruba mogła z

tamtej strony ściany przytrzymywać jakieś drzwi na sprężynie. Należało ją odkręcić. Ale czym?, Nie było to łatwe zadanie, bo śruba była duża i ponieważ na pewno dawno nie była wykręcona, przywarła mocno do ściany. Witold zaczął się zastanawiać, jakiego by użyć narzędzia. Scyzoryka nie miał, bo odebrano mu go jeszcze w więzieniu. A tu trzeba było mieć mocny i duży śrubociąg. Sytuacja była niewesoła — ratunek wydawał mu się tak bliski, a jednak nic mógł z niego skorzystać.

Wtem roześmiał się. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Uspokojony położył się na kanapie, jakby oczekując czegoś. I doczekał się. Po niecałej godzinie z za otworu ściany rozległ się znajomy brzęk talerzy. Po chwili otworzyło się okienko, ukazał się talerz i duże, metalowe szczypce. Witold podszedł jak zwykle spokojnie i nagłym ruchem szarpnął za szczypce, wrywając je komuś, kto stał za ścianą. Talerz z brzękiem upadł na podłogę, a jednocześnie Witold zaczął głośno krzyczeć:

— Psiakrew, mało, że mnie tu trzymacie, jeszcze mi takie świństwo dajecie do jedzenia! Ciągłe ta sama zupa, że wściec się można! Albo dacie, co dzień inną zupę, albo ogłaszam głodówkę!

Za ścianą rozległy się jakieś kroki, ktoś szybko się oddalał.

Witold roześmiał się:

— No, chyba nie domyślają się, że to o szczypce się rozchodzi!

Szczypce doskonale nadawały się do swej nowej roli. Były zrobione z mocnej stali i dostatecznie cienkie. Witold od razu zabrał się do roboty. Z początku szło opornie, śruba nie chciała się ruszyć. Wreszcie drgnęła. Powoli zaczęła się odkręcać. Witoldowi serce waliło jak młotem. Lada chwila mogła nastąpić jakaś niespodzianka! Śruba była już odkręcona, na jakie trzy centymetry.

Nagle!!... Ściana na powierzchni jakiegoś metra kwadratowego odskoczyła gwałtownie w tył z głośnym trzaskiem, jak gdyby pociągnięta silną sprężyną. Ukazał się ciemny otwór, z którego buchnęły kłęby kurzu. Witold mimo woli uskoczył w tył. Gdy kurz wreszcie opadł, zajrzał do środka. Powiało zgnitym, piwnicznym zapachem. Przed jego oczyma ciągnął się długi, ciemny korytarz, tak niski, że człowiek ledwo mógł się w nim pomieścić. Droga była otwarta. Tylko czy prowadziła ona na wolność?...

Witold powoli i ostrożnie zaczął posuwać się naprzód. Im dalej szedł, tym było ciemniej; światło żarówki z jego celi nic dochodziło tu już. Po omacku posuwał się przed siebie. Szedł już tak kilka minut, gdy wtem korytarz skręcił w lewo. Witold szedł dalej. Wtem potknął się. Pod, stopami wyczuł schody, prowadzące w górę. Jednocześnie wydało mu się, że robi się trochę jaśniej. Rzeczywiście, z góry sączyło się światło. Po cli wili zobaczył, że schody prowadzą do obszernej komórki.

Znalazł się w komórce. Była ona cała zastawiona jakimiś butlami pełnymi płynów i pokrytymi kurzem i aparatami elektrycznemu. Do okienka w suficie prowadziła drabina. Wszedł po niej i przez szybkę spojrzął w górę. O mało nie krzyknął ze zdziwienia. Ujrzał duży pokój, który musiał służyć za laboratorium

naukowe. Na stole stały słoje zaopatrzone w etykiety, palniki, postumenty z probówkami, pełnymi jakichś kolorowych płynów. Przy stole stał jakiś stary człowiek i gotował coś w probówce nad palnikiem. Wyglądał on niesamowicie. Był wysoki, bardzo chudy. Białe jak papier, zapadnięte policzki, blade, wąskie wargi, głębokie oczodoły — nadawały temu człowiekowi wygląd jakiejś niesamowitej zjawy z państwa cieniów.

Witold zawahał się. Co robić dalej? Czy unieść szybę i wejść do pokoju? Nie miał nie tylko rewolweru, ale nawet kija do obrony. Mógł, po tak trudnej ucieczce, przez jeden lekkomyślny krok znowu dostać się do niewoli. Ten stary mógł być uzbrojony, a poza tym na pewno znał wszystkie tajemne pułapki tego diabelskiego domu.

Witold postanowił, więc zaczekać, aż stary wyjdzie i wówczas dostać się do laboratorium. Znowuż, więc musiał cierpliwie czekać, a tymczasem bacznie obserwował starego i pokój. Na ścianach były przymocowane marmurowe tablice pełne kontaktów elektrycznych. Na podłodze stała jakaś wielka skomplikowana maszyna, której znaczenia nie mógł się domyśleć. Były tam woltomierze, zwoje drutów i jakieś koła niklowe, wszystko to lśniło czystością i wyglądało bardzo tajemniczo. Chudy starzec podchodził od czasu do czasu do ściany i coraz to inne druty włączał do kontaktów. Za każdym razem na stole zapalała się lampka innego koloru: żółta, fioletowa, zielona, czerwona, niebieska. Wyglądało to bardzo efektownie. W pewnej chwili stary oddalił się od stołu i znikł z pola widzenia Witolda.

Witold przeczekał jeszcze chwilę i ostrożnie unióśł szybę. Wysunął głowę i rozejrzał się naokoło. Rzeczywiście, starego nic było. Jednym skokiem Witold znalazł się na środku pokoju. Pierwsze jego spojrzenie padło na okno. U; licha! Zakratowane! Drzwiami bał się wyjść. Mógł spotkać swych prześladowców, którzy może już zauważyli jego ucieczkę i wpadną tu za chwilę. Wyrzwał oknem. Poraż pierwszy od długiego czasu spojrzał na świat. Był jasny, słoneczny dzień; Pokój był niewysoko, zapewne na pierwszym piętrze. Okno wychodziło na duży ogród, otoczony murem z czerwonej cegły. Za murem nie było nic widać, żadnych drzew ani domów. Musiało tam się rozciągnąć jakieś puste pole. Witold błyskawicznie powziął plan. Zaczął się przy drzwiach, aby, gdy starzec wejdzie, schwycić go nagle za gardło i pod groźbą uduszenia zmusić go, by wskazał mu drogę do wolności.

Wtem usłyszał na korytarzu czyjeś kroki., Witold skulił się do skoku. Drzwi otworzyły się. Witold rzucił się na przybysza i z całych sił ścisnął mu szyję. Lecz jednocześnie z ust jego wydarł się głośny okrzyk zdumienia i przerażenia. Czerwona, nabrzmiała z braku powietrza twarz, którą miał przed oczyma, była twarzą... Inżyniera Corta! Ale nic było czasu na zastanawianie się. Cort był silnym mężczyzną, natychmiast oprzytomniał po chwilowym oszołomieniu i zaczął się gwałtownie wrywać. Rozpoczęła się zaciekle, rozpaczliwa walka. Witold nic wypuszczał szyi przeciwnika, bojąc się, że ten krzykiem zwoła swych kompanów. Tamten wrywał się, jak wściekłe zwierzę.

Tarzali się po podłodze, kalecząc o kanty mebli, brocząc krwią, brudni. Witold czuł, że słabnie. Ostatkiem sił ścisnął gardło przeciwnika. Przed oczyma zaczęły mu latać czarne pląty. Ostatnie przeżycia, pobyt w więzieniu i teraz w tej okropnej celi — wyczerpały go fizycznie. Czuł, że za chwilę ulegnie, że znów wpadnie bezbronny w ręce swych prześladowców...

* * *

Nagle... Czy mu się zdaje? Cóż to za hałas za drzwiami? Słysząc jakieś krzyki, ciężkie męskie kroki, grube głosy. Hałas wzmagą się coraz bardziej, jakby ci ludzie zbliżali się. Nagle drzwi szarpnięte gwałtownie, otwierają się... W progu staje z rewolwerem w ręku komisarz Twardy. Cort błyskawicznie zrywa się z ziemi i chwyta korbę tajemniczej maszyny elektrycznej. W tej samej sekundzie pada strzał. Inżynier Cort z jękiem wali się na ziemię. Komisarz Twardy podchodzi do leżącego na ziemi Witolda, podnosi go łagodnie i mówi, klepiąc go po ramieniu:

— Nareszcie skończyły się pańskie cierpienia. Sprawa jest już prawie wyjaśniona. Ale nie nam pan to zawdzięcza — jest to zasługa pana narzeczonej.

Witold jest tak zdumiony i oszołomiony niespodziewanym zwrotem w sytuacji i słowami komisarza, że nie wie, co powiedzieć. Milczy i dyszy ciężko, wyczerpany walką. Dwaj barczyści policjanci podnoszą z podłogi ranionego Corta i wynoszą go z pokoju.

— Niech pan pozwoli z nami, panie Dietrich — mówi Twardy — rozpoczynamy rewizję...

— Nie umiem panu wyrazić, jaki jestem szczęśliwy. Nareszcie skończą się moje męki. Nic wiem, czy pociągnąłbym jeszcze długo. Byłem bliski samobójstwa. Ale powiedz mi pan, co to wszystko znaczy? Skąd tu Cort?

Szczegółów sami jeszcze nie znamy. Ta rewizja i śledztwo powinny je wyjaśnić. Ale milej chyba będzie panu dowiedzieć się o wszystkim z ust pana narzeczonej, głównej bohaterki w tej sprawie.

A może teraz w krótkości pan nam opowie, w jaki sposób uciekł pan z więzienia?

— Niech mi pan wierzy, panie komisarzu, że była to najokropniejsza noc, jaką przeżyłem. Było wówczas bardzo ciemno i pochmurno. Ja spałem spokojnie na tapczanie, gdy wtem zbudził mnie jakiś szmer koło okna. Uniosłem głowę i jednocześnie oślepiło mnie bardzo silne, błękitne światło koło kraty okiennej. Było to takie światło, jakie się widzi przy spawaniu szyn tramwajowych. Trwało to chwilę, poczem znów nastąpiła nieprzenikniona ciemność. Jednocześnie usłyszałem wyraźnie jakieś kroki od strony okna. Przeszył mnie zimny dreszcz zgrozy. Nagle zapalił ktoś małą, kieszonkową latarkę. Wówczas ujrzałem coś potwornego. Powoli zbliżał się ku mnie... Mój sobowtór, ja sam! Zdaje się, że krzyknąłem, zrobiło mi się czarno przed oczyma. Straciłem przytomność. Ocknąłem się już w moim nowym więzieniu, małym pokoiku bez drzwi i okien.

Dopiero co wyostałem się z niego.

— No, dowiemy się po trochu o wszystkim. Znajdziemy tu na pewno dosyć materiału.

Komisarz Twardy, jeszcze kilku wyższych urzędników policji w towarzystwie eksperta, inżyniera-elektryka i kilku posterunkowych rozpoczęli rewizję. Zaczęła się ona od pokoju, w którym byli. Nie znaleziono tam nic ciekawego. Tajemniczych maszyn i chemikali narazie nie badano. Te rzeczy należały do kompetencji komisji ekspertów. Udano się dalej. Dom był budowany systemem hotelowym — wzdłuż korytarzy pojedyncze pokoje. Niektóre były zamknięte na klucz i trzeba było wyważać drzwi. Nie znaleziono w nich nic ciekawego. Robiły wrażenie od dawna niezamieszkałych, były pełne kurzu i brudu, łąziło po nich robactwo, a z sufitów zwisały grube pajęczyny.

Wreszcie w jednym z ostatnich pokoiów znaleziono bladego wychudzonego starca, tego samego, którego Witold już poznał. Siedział na krześle i patrzył osłupiałym wzrokiem na wkraczających policjantów, bełkocząc jakieś niezrozumiałe wyrazy. Komisarz Twardy zapytał go łagodnie:

— Jak się pan nazywa?

— Marwicz. Profesor Marwicz — brzmiała ledwo dosłyszalna odpowiedź.

— Pan pozwoli z nami.

Marwicz bez słowa podniósł się i poszedł za policją.

Parter dostarczył więcej materiału. Dokonano tam odkryć wprost sensacyjnych. Na samym środku znajdowała się wielka sala, a liczne transmisje nadawały jej wygląd hali fabrycznej.

Ekspert stwierdził, że jest to kompletnie urządzona i wyposażona w najnowocześniejsze maszyny fabryka akumulatorów i baterii elektrycznych oraz stojący na najwyższym poziomie zakład mechaniki precyzyjnej. Cała fabryka była zelektryfikowana, tak, że mogło ją obsłużyć kilku ludzi. Był to prawdziwy cud techniki. Obok sali fabrycznej znajdował się mały pokój, coś w rodzaju kantorku. Jedną ze ścian zastępowała stalowa płyta. Za tą płytą musiała się kryć jakaś zagadka. Niestety, nikt nie wiedział, jak ją usunąć. Na próżno męczył się inżynier, komisarz, policjanci. Stalowa płyta nie chciała nawet drgnąć. Nagle wysunął się profesor Marwicz:

— Czy schwytaliście już Corta?

Komisarz przez chwilę zawahał się. Wreszcie odpowiedział:

— Tak. Jest ranny. Zdaje mi się, że rana jest śmiertelna.

Na wychudłej twarzy Marwicza ukazał się jakby lekki uśmiech:

— Poczekajcie. Otworzę wam naszą kasę!

Marwicz podszedł do ściany i nacisnął jakiś guziczek. Płyta z trzaskiem odskoczyła, odsłaniając głęboką, ciemną wnękę. Komisarz zapalił elektryczną latarkę. Jednocześnie z ust wszystkich obecnych wydarł się przeraźliwy krzyk. W głębi, pod ścianą, patrząc bezmyślnie na przybyłych — stał Witold Dietrich! Postać była zupełnie jak żywa, podobieństwo było zupełne. Robiło to potworne, niesamowite wrażenie. Wszyscy milczeli. Tylko Marwicz chichotał idiotycznie.

Pierwszy opanował się komisarz:

— Spodziewałem się tego. I pan pewnie również, panie Dietrich, po pańskim porwaniu z więzienia?

— Tak — wyszeptał Witold blady jak ściana — ale to jest straszne!...

— He! He — roześmiał się nagle Marwic — czy wiecie, że gdybym chciał, ten automat w tej chwili wymordowałby was wszystkich. Ale Corta już niema, już dosyć, dosyć, dosyć — zaczął nagle krzyczeć histerycznie — niech się to już nareszcie skończy! Powiem wam wszystko! Pokażę wszystko! Niech mnie powiesz!

— Co jest w tej kasetce? — Zapytał nagle komisarz, wskazując stojącą na podłodze szkatułkę metalową. Marwicz otworzył kasetkę. I znowu oczy obecnych uderzył niezwykle widok. W kasetce leżała, w paczkach banknotów i rulonach bilonu, jakaś olbrzymia suma pieniędzy. Na każdej opasce widniała wyraźnie pieczęć: „Towarzystwo Ubezpieczeń „SECURITAS" Spółka Akcyjna”.

— No, panie Dietrich, można panu pogratulować. Jest pan zamożnym człowiekiem. Na razie, wybaczy pan, musimy skonfiskować te pieniądze — roześmiał się Twardy, — ale teraz będą one w pewniejszych rękach.

— A teraz — odezwał się Marwicz — dam wam jeszcze coś, co już ostatecznie rozplącze wszystkie tajemnice.

Otworzył jeszcze jedną szufladę biurka i wyciągnął z głębi jakiś gruby zeszyt.

— Niech pan to weźmie, panie komisarzu. Jest to mój pamiętnik. Dowie się pan z niego o największych zbrodniach i największej tragedii ludzkiej.

Komisarz wziął zeszyt i zaczął przerzucać kartki, lecz Marwicz zawołał:

— O teraz pan tego nie przeczyta! To zbyt długa i poważna lektura! Twardy wsunął zeszyt do teczki. Tymczasem Marwicz podszedł niepostrzeżenie do ściany i nagłym ruchem przeciął jakieś dwa druty.

— Tak będzie bezpieczniej — zawołał!

Wszyscy spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

Lecz wyjaśnienie tego postępu było zadaniem komisji ekspertów. Jeszcze raz pobieżnie przeszukano cały dom. Wreszcie komisarz kazał rewizję zakończyć:

— Materiał zdobyliśmy duży. Corta, dozorcę Bielasa i Marwicza odstawimy narazie do aresztu śledczego. Teraz trzeba wyłapać resztę bandy, a eksperci zbadają wreszcie, jakim sposobem dokonywano zbrodni. Pójdziemy, panowie...

Gmach opieczętowano. Przy wszystkich wejściach stanęły posterunki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

„SPRAWA DIETRICHA”

Witolda, wychodzącego wreszcie na wolność z ponurego domu zbrodni, oczekiwała na ulicy jeszcze jedna niespodzianka: przed domem spacerowała Jadzia. Z głośnym okrzykiem radości rzucili się sobie w objęcia. Srodzy dygni-

tarze policyjni odwrócili się z uśmiechem pobłażania — nie chcieli przeszkadzać tym gorącym uściskom i pocałunkom. Młoda para, przytulona do siebie, poszła naprzód. Jadzia w gorączkowych, urywanych słowach opowiadała Witoldowi o wszystkim, co się działo podczas jego pobytu w więzieniu i później, po porwaniu. Witold opowiadał jej o swoich przejściach, o pokoiku bez drzwi i okien, o tajemniczej śrubie w ścianie. Ody zaczął opowiadać, jak ujrzał w laboratorium bladego i wychudłego profesora Marwicza, Jadzia przerwała mu:

— Bardzo chudy? Blady? Wąskie wargi, zapadłe oczodoły? Ja już widziałam tego człowieka! Widziałam go wtedy, gdy po raz pierwszy odnalazłam Corta w jego pokoiku, naprzeciwko cukierni. Wyszedł wtedy od niego i przeraził mnie swoim widokiem...

— Tak. Wygląda zupełnie na narkomana. Morfinista, albo kokainista, czy co u licha. Podczas rewizji zachowywał się też niezupełnie normalnie.

— No, teraz, Wiciu, dowiemy się o wszystkim. Teraz jesteśmy już wolni, teraz nie będzie nas gnębić ta potworna szajka zbrodniarzy. Jestem teraz tak szczęśliwa, że nie myślę już nawet o straconych pieniądzach. Będziemy pracować, utrzymamy się jakoś...

Witold uśmiechnął się:

— No, niech ci się nie wydaje, że zostaniesz na swojej marnej posiadce za 150 złotych. To byłby wstyd dla przyszłego lekarza. Właściwie moja żona w ogóle nie powinna nic robić...

— Witek! Co ty pleciesz za idiotyzmy? Od kiedy to taki z ciebie arystokrata? A co mi dasz jeść, jak nie będę pracowała?

— O dam ci jeść! Dam ci jeść, i ubrać się, i podróżować sobie będziemy. A bo to mi nie wypłacił wasz kasjer 250.000 złotych?

Jadzia spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma. Myślała, że się prześluszyła. Nie wierzyła własnym uszom.

— Co ty mówisz — zapytała drżącym głosem — czy naprawdę, naprawdę?... Czyżby się te pieniądze znalazły?

Witold zamiast odpowiedzi chwycił dziewczynę w pól i jeszcze raz gorąco ją ucałował.

Ten wieczór wynagrodził im wszystko co ostatnio przeszli.

* * *

W mieście wrzało.

Nabrzmiały wrzód nareszcie pękł.

Toczące się w przyspieszonym tempie śledztwo odsłaniało coraz to nowe szczegóły. Cort leżał w szpitalu. Kula przeszła mu płuco, lecz dzięki wyjątkowo zdrowemu organizmowi wracał powoli do zdrowia. Badanie lekarskie profesora Marwicza wykazało, że był on nałogowym morfinistą.

Komisja ekspertów dokonała badania gmachu przy ulicy Przechodniej. Rezultaty były wręcz sensacyjne. Automat, sobowtór Witolda miał zainstalowaną

wewnątrz i połączoną z poszczególnymi organami niesłychanie pomysłową i skomplikowaną stacją odbiorczą. Za pomocą fal radiowych można było odpowiednio kierować jego ruchami. Była tu zastosowana i ulepszona ta sama zasada, za pomocą, której robiło się z powodzeniem próby kierowania samolotami i okrętami bez załóg.

Prasa całego świata rozpisywała się o tej niesłychanej sprawie.

Witold i Jadzia otrzymywali setki, listów z całego świata z gratulacjami, z prośbami o autografy i wreszcie z propozycjami objęcia ról we filmie lub w teatrze, przyczym obiecywano im fantastyczne honoraria.

Fotografie ich ukazywały się we wszystkich gazetach świata, najwybitniejsi dziennikarze robili z nimi wywiady.

Jednakowoż cała sprawa daleka jeszcze była od wyświeślenia. Niewiadomo było jeszcze, ani po co dokonywano tak potwornych zbrodni, kto był ich sprężywą, jakie role grali poszczególni przestępcy. Gazety tworzyły setki hipotez, nieraz zupełnie niedorzecznych, wszyscy gubili się w przypuszczeniach. Ostateczne wyjaśnienie miało nastąpić dopiero po zakończeniu śledztwa. Wówczas, według przyrzeczenia komisarza Twardego, miano ogłosić pamiętnik profesora Marwicza.

Był to, zdaniem komisarza, najbardziej dziwaczny i ponury dokument nie-szczęścia i zbrodni, jaki zdarzyło mu się czytać. To też publiczność z niesłychaną niecierpliwością czekała na wynik śledztwa, na ostateczne zerwanie zasłony z tajemniczej „sprawy Dietricha”.

Wreszcie publiczność doczekała się.

Śledztwo, które ze względu na ogromną ilość materiału, było bardzo długie i uciążliwe zostało wreszcie zakończone.

Pamiętnik ten, jako najpotężniejszy dokument obciążający w procesie, został w całości odczytany na rozprawie, a następnie drukowany był przez wszystkie poważniejsze pisma w kraju i zagranicą.

Całkowity tekst, podany przez pisma, brzmiał następująco:

PAMIĘTNIK PROFESORA MARWICZA.

Pamiętnik rozpoczyna się od czasów, gdy Marwicz otrzymał profesurę na politechnice. Był on wyjątkowo pracowitym i twórczym uczonym. Trzymając nieustannie rękę na pulsie najnowszych zdobyczy w dziedzinie fizyki i chemii, jednocześnie sam tworzył, wydając własne dzieła naukowe, cieszące się wilkiem uznaniem w świecie uczonych.

Choć umysł młodego uczonego pracował jak- najsprawniej, jego zdrowie fizyczne w pewnym okresie zaczęło szwankować. Słaby z natury organizm wyczerpywał się coraz bardziej zbyt wyężoną pracą naukową. Od tego okresu rozpoczynamy druk jego pamiętnika:

17 LIPCA. Wątpię, czy sam poradzę sobie z urządzeniem laboratorium.

Czuję się nieszczęśliwie. Chciałbym skorzystać z wakacji i wyjechać na wieś. Te moje bóle głowy napadają innie coraz częściej. Byłem u profesora W. Zbadał mnie szczegółowo, powiedział, że mam organizm wątły i jestem ogromnie przepracowany. Kazał mi koniecznie wyjechać, grożąc, że w przeciwnym razie mogę się ciężko rozchorować. Chciałbym przyjąć jakiegoś dzielnego i zdolnego człowieka, któryby mi pomógł w urządzeniu laboratorium i znałby się na obsłudze aparatów. Nie chcę żadnego naukowca. Teoria moja nie dojrzała jeszcze do tego, aby w nią już teraz kogoś wtajemniczać. Chciałbym po prostu jakiegoś dobrego laboranta i elektrotechnika. Jeśli znajdę kogoś odpowiedniego, pozostawię laboratorium pod jego opieką i wyjadę, chociaż na parę tygodni.

21 LIPCA. Byłem wczoraj na przyjęciu u naczelnika departamentu S... Było tam wiele osób ze świata nauki, polityki, literatury. Poznałem tam również słynną Gronowską. Wielka ta aktorka robi rzeczywiście niezwykle wrażenie. Jest piękna, a przy tym wysoce inteligentna i subtelna. Mówią o niej, że używa narkotyków. Nie wiem, czy to prawda. Jest w każdym razie bardzo blada i szczupła i zdradza silną nerwowość. Rozmawiałem z nią długo i rozmowa ta sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Opowiedziałem jej o swoich kłopotach. Zainteresowała się żywo i napomknęła, że zna człowieka, który byłby dla mnie odpowiedni. Jakiś elektrotechnik, znający jednocześnie podstawy chemii. Jest akurat bezrobotny i szuka zajęcia. Obiecała, że mi go przyśle. Ma się jutro zgłosić. Zobaczymy.

23 LIPCA. Był u mnie wczoraj protegowany Gronowskiej. Nazywa się Cort. Jest to młody mężczyzna, robi wrażenie bardzo energicznego i pełnego inicjatywy. Ukończył średnią szkołę techniczną. Zdaje się, że jego wiedza jest dla mnie zupełnie wystarczająca. Nie dałem mu jeszcze definitywnej odpowiedzi, ale sądzę, że przyjmę go. Jeśli rzeczywiście nada się, będę Gronowskiej bardzo zobowiązany.

25 LIPCA. Doszedłem do porozumienia z Cortem. Pod względem materialnym nie jest zbyt wymagający. Zaprosiłem go do laboratorium, zapoznałem go z całym urządzeniem i z maszynami. Orientuje się doskonale. Przypuszczam, że nareszcie będę mógł się trochę wyrwać na wypoczynek. Przyda mi się.

1SIRPNIA. Nareszcie jestem na wsi. Wypoczywam sobie znakomicie. Cały dzień spędzam na powietrzu, wieczorami pracuje ze dwie godzinki nad opracowaniem swej teorii... (Tu następują dłuższe wywody teoretyczne na temat działania i właściwości fal radiowych i innych.)

Za kilka dni powinienem otrzymać list od Corta. Ciekawy jestem, jak on tam sobie daje radę. Towarzystwo mam tu bardzo miłe. Podobno ma tu również przyjechać na wypoczynek Gronowska. Bardzo bym się cieszył, bo przyznam, że ona bardzo mi się podoba. Czyżby moje uparte starokawalerstwo miało się wreszcie załamać pod spojrzeniem tej pięknej artystki? Jestem zdaje się, zbyt

pewny siebie. Nie mam przecież żadnych danych sądzić, że i ja jej się podobam.

4 SIERPANIA. Dostałem list od Corta. Wszystko w porządku. Tego się zresztą spodziewałem. Jutro faktycznie przyjeżdża Gronowska. Zamieszka u swoich krewnych, o parę kroków stąd. Mam nadzieję, że będę mógł teraz rozwiać te opinie wroga kobiet, jaką się wszędzie desze. Czuje się bardzo dobrze. Opaliłem się, dobrze wyglądam, przybyło mi na wadze. Bóle głowy znikły, jakby ręką odjął. Profesor W. miał rację. Organizm mam zupełnie, zdrowy, tylko stale pracowuje się. Teraz, gdy wrócę do pracy, postaram się tak urządzić, aby już nie pracować po nocach. Sądzę, że przy pomocy Corta dzień mi w zupełności wystarczy.

5 SIERPANIA. Gronowska przyjechała. Przywitała się ze mną z dużą radością. Powiedziała, że właśnie szuka towarzystwa jakiegoś mola książkowego, bo już ją znudziły te teatralne pędziwiatry. Byliśmy na dalekim spacerze w liczniejszym towarzystwie. Na jutro popołudniu umówiliśmy się na łódki. Jest bardzo miła. Mam wrażenie, że lekko mnie kokietuje. Nic nie szkodzi. Nie dam się!...

7 SIERPANIA. Wczoraj łódkowaliśmy. Przyjrzałem jej się z bliska. Boję się, że to, co o niej mówią jest prawdą. Jest bardzo blada i ma sine obwódki pod oczyma. Powiedziałem jej, że musi być tak, jak i ja, przemęczona pracą, bo jest bardzo wymizerowana. Roześmiała się: — „O nie! Im gorzej wyglądam, tym lepiej się czuję!” Nie wiem, co to może znaczyć.

10 SIERPANIA. Gronowska wyznała mi dziś wreszcie smutną prawdę. Rzeczywiście, jest ona morfinistką. Jestem prawdziwie zrozpaczony. Wątpię, czy da się ją uratować. Przy tym ona zdaje się wcale nie rozumieć, jakie to jest straszne nieszczęście i co ją w przyszłości czeka. Gdy zaczynam choćby w najłagodniejszej formie mówić o tym, gniewa się na mnie i grozi natychmiastowym zerwaniem. Jest ona już typową ofiarą nałogu. Całymi godzinami opowiada mi o rozkoszach, jakich doznaje po zastrzyku. Mówi to w taki sposób, jakby i mnie chciała do tego skłonić. Jest to zresztą objaw powszechny u narkomanów, że chcą również najbliższe otoczenie wciągnąć w okropny nałóg.

12 sierpnia. Żyję pod znakiem morfiny. Zosia (mówię już do niej po imieniu) nie rozmawia ze mną o niczym innym. Morfina całkowicie opanowała jej świadomość. Zupełnie otwarcie namawia innie, abym też popróbował. Przekonywa mnie, że pierwszy zastrzyk nie jest absolutnie groźny, nie pociąga bynajmniej za sobą wpadnięcia w nałóg. Daje mi przykład wielu medyków, którzy na sobie samych próbowali działania najróżnorodniejszych narkotyków i nie stawali się narkomanami. I ja o tym wiem. W każdym razie nie mam zamiaru robić tego rodzaju prób.

11 SIERPNIA. Zosia namawia mnie coraz usilniej, abym zrobił próbę. Czasem myślę, że mam dość silną wole, aby móc sobie na to pozwolić. Przyznam, że mocno mnie to ęci. Spędzam z Zosią długie godziny razem. Ona nieustannie opowiada mi o swoich wrażeniach po zastrzyku. Nie wydostanie się już nigdy z pet nałogu.

18 sierpnia. A wiec stało się!... Nareszcie!... Nie byłem już zdolny dłużej walczyć ze sobą. U niej, w jej pokoju zrobiłem pierwszą próbę. Nie będę się silił na opisanie tych cudownych, nieziemskich wrażeń. Nigdy chyba nie przeżyję nic bardziej rozkosznego. Rozumiem Zosię, rozumiem każdego morfinistę. Ale, oczywiście, na tym koniec. Jestem bogatszy o jedno doświadczenie, o jedno rozkoszne wrażenie.

21 sierpnia. Źle jest... Morfina ęci mnie. Gdy widzę, jak Zosia bez przeszkód rozkoszuje się narkotykiem, porywa i mnie wściekła żądza popróbowania choć jeszcze jeden, jedyny raz. U licha! Nie zaszkodzi mi to chyba. Przyjadę do miasta, do moich retort i książek, to zapomnę o morfinie. Trudno mi pracować wieczorami. Mam wrażenie, że gdybym spróbował jeszcze raz, nerwy moje uspokoiłyby się.

W tym miejscu rozpoczyna się długi i wstrząsający opis walki profesora Marwicza z opanowującym go nałogiem. W walce tej uległ. Stopniowo przyzwyczaił się do coraz silniejszych dawek morfiny, stał się nałogowym morfinistą. Ogarnia go rozpacz, jednak jest bezsilny. Zbliża się dzień jego wyjazdu do miasta.

12 WRZEŚNIA. Pojutrze wyjeżdżam. Może w mieście mnie wyleczą. Pójdę do profesora W. Ale, gdy przyjadę, muszę przynajmniej w pierwszych dniach, mieć morfinę. Skąd ją wezmę? Zapytam Zosię, skąd ją bierze. Przecież to kosztuje majątek!... Musi mi powiedzieć skąd bierze!...

14 WRZEŚNIA. Cóż to za niesłychana wiadomość! A więc ten człowiek jest dostawca morfiny? Nie wiem, czy rozpaczać czy cieszyć się. Przecież taki człowiek może być zdolny do wszystkiego. Może mnie okradnie... Nie pojmuję, dlaczego w ostatnich tygodniach dostarcza Zosi morfiny darmo. Czyżby zależało mu na tym, aby wciągnęła mnie w nałóg? Będę miał w domu przestępcę. Ale morfiny mi nie zbraknie. Dziś wyjeżdżam.

15 WRZEŚNIA. Męcę się strasznie. Cort nic nie mówi. Nie wiem, czy domyśla się jak ja cierpię; nie daję nic poznać po sobie.

16 WRZEŚNIA. Nareszcie mam morfinę! Zapytałem Corta po prostu, czy nie mógłby mi dostarczyć trochę morfiny dla pewnych doświadczeń. Zdziwił się bardzo. Udawał zaskoczonego. Powiedziałem mu, iż słyszałem od Gronowskiej,

że jest bardzo obrotny i może dostarczyć wszystkiego, czego się od niego zażąda. Zdaje się, że zrozumiał o co chodzi. Przyniósł mi kilka gramów. Myślałem, że to jest droższe...

19 WRZEŚNIA. Staję się coraz bardziej niewolnikiem nałogu. U profesora W. Nie byłem. Nie pójdę do niego, nie wierzę, by mógł mi dopomóc. Zresztą jest to tak rozkoszne... Morfina nie przeszkadza mi narazić w pracy. Moje doświadczenia nad falami elektromagnetycznymi posuwają się szybko naprzód. Osiągnąłem wielki sukces: przez dłuższy czas kierowałem miniaturowym modelem samochodu na powierzchni stołu przy pomocy fal. Cort jest nieocenionym pracownikiem. Jest na równi ze mną pochłonięty moimi doświadczeniami. Musi to być wytrzymały samouk — posiada więcej wiedzy, niż sadyłem.

23 WRZEŚNIA. Cort zaczyna już wiedzieć więcej, niżby mi było na rękę. Jest to jakiś dziwny człowiek. Wdarł się niespodzianie do mego życia i mam nieokreślone przeczucie, że przyniesie on mi coś złego. Jednak jest mi niezbędny. Mój nałóg związał mnie z nim na całe życie. Nie mogę się już obejść bez niego. Dzięki niemu mam morfinę na każde żądanie i to po zdumiewająco tanich cenach. Chciałem się dowiedzieć o jakichś innych handlarzy narkotyków. Dziwna rzecz, w żaden sposób mi się to nie udaje. Nikt nie chce mnie poinformować. Dowiedziałem się jednak o ceny. Są bez porównania wyższe. Nie pytam Corta skąd bierze morfinę. Dobrze mi z tym.

26 WRZEŚNIA. Rozmawiałem dziś z Cortem. Radzi mi on porzucić katedrę na politechnice. Wysuwa dosyć poważne argumenty. Mówi, że doświadczenia moje są tak doniosłe, że powinienem poświęcić się im całkowicie, a nie tracić czas i siły na wykłady. Dużo w tym racji. Na szczęście, względy finansowe nie grają u mnie roli. Mogę spokojnie żyć z kapitału. Mam poważny zamiar posłuchania jego rady. Cort dziś pojechał gdzieś na jeden dzień. Ostatnio często wyjeżdża.

27 WRZEŚNIA. Miałem dziś niespodziewane zajście z Cortem. Prosiłbym mu wyjaśnić pewną część mej teorii. Odmówił mi. Cort odpowiedział niezwykle hardo, że za to, co dla mnie robi, należy mu się chyba tyle zaufania. Odmówił stanowczo. Roześmiał się bezczelnie i powiedział, że wobec tego uważa się za zwolnionego od obowiązku dostarczania mi morfiny. Zaskoczyło mnie to, ale uparłem się. Ostatecznie, muszę znaleźć wkońcu jakieś inne źródło morfiny. Chyba Cort nie jest jedynym jej dostawcą.

29 WRZEŚNIA. Niepojęta rzecz! Handlarze morfiny są dla mnie zupełnie niedostępni. Wygląda to na jakąś rozmyślną robotę Corta. Czyżby miał aż tak znaczną władzę wśród handlarzy narkotyków. Nie wiem czy jeszcze długo wytrwam. Cort ma w ręku znakomity sposób terroryzowania mnie.

30 WRZEŚNIA. Uległem. Dopóki miałem morfinę — trzymałem się. Pierwszy dzień bez morfiny zmusił mnie do uległości. Było to dla mnie niesłychane upokorzenie. Wyjaśniłem temu łotrowi dokładnie wszystko o co pytał. Po godzinie miałem morfinę. Jestem teraz na łasce i niełasce handlarza morfiny.

3 PAŹDZIERNIKA. Cort bez trudu dowiaduje się ode mnie czego tylko chce. Nie odmawiam mu już niczego, aby nie narazić się na nową porażkę. Ten człowiek opanowuje mnie zupełnie, staje się moim tyranem. Jestem w rozpacz. Nie widzę sposobu uwolnienia się od niego.

Tu rozpoczyna się opis stopniowego staczania się profesora Marwicza do roli uległego sługi bezczelnego i bezwzględnie Corta. Nałóg coraz bardziej rujnował jego zdrowie. Dowiedzieli się wreszcie o jego nieszczęściu koledzy-profesorowie i władze akademickie. Poziom jego wykładów obniżył się. Jego dymisja ze stanowiska profesora od nowego roku akademickiego była już sprawą przesądzoną. Uważano go ogólnie za człowieka skończonego. Gdy zaczęły się zbliżać wakacje, Cort zaczął go gorąco namawiać do przeniesienia laboratorium do jakiegoś prowincjonalnego miasta, kupienia tam jakiegoś domku na uboczu i założenia wielkiej, nowoczesnie wyposażonej stacji doświadczalnej. Bezwolny i zupełnie opanowany przez nałóg Marwicz zgodził się bez oporu. Pamiętnik staje się dokumentem coraz mniej dokładnym. Zapiski stają się rzadsze. Charakter pisma drżący i przerywany znamionuje wielkie wyczerpanie fizyczne.

20 CZERWCA. Koniec. Nie jestem już profesorem politechniki. Życie moje, które mogłem poświęcić służbie ludzkości, spędzam w służbie łajdaka. Cort wyjechał do P., — aby kupić tam odpowiedni dom. Nie pyta mnie o nic. Nie wiem jakie ma plany. Boję się niewypowiedziane. Sztuczny człowiek, dzieło całego mego życia, mogło się stać błogosławieństwem ludzkości. W jego rękach może się stać narzędziem najokropniejszych zbrodni. Nie wiem co on zamyśla.

26 CZERWCA. Cort wrócił. Dom został już kupiony na moje imię. W najbliższych dniach wyjeżdżamy.

5 LIPCA. To, do czego on mnie zmusza jest szaleństwem. Sprowadzenie tak nowoczesnych maszyn i urządzeń fabrycznych pochłonie sporą część majątku. Mnie to jest niepotrzebne. Widać on ma jakieś plany. Planu zbrodnicze. Staje się narzędziem w rękach zbrodniarza. Przeklęta morfina.

13 LIPCA. Za miesiąc nadejdą z zagranicy maszyny. Teraz mam spokój. Nie pracuję już. Cort urządził mi pokój w nowym domu i przyjął dozorcę. Jakiś podejrzany typ. Ale wszystko jest mi już obojętne. Cort sam wynajął sobie jakiś

pokój w mieście i tam sypia. Tu zachodzi tylko co kilka dni i przynosi mi morfinę. Nie wiem co będzie dalej.

20 LIPCA. Cort zmontował pod moim kierownictwem silną stację nadawczą. Jestem w rozpacz. Zażądał, abym natychmiast po nadejściu maszyn zbudował robota w ludzkiej postaci. Nie chcę! Nie chcę! Ten człowiek chce popełniać jakieś zbrodnie. Gdybym miał odwagę odebrać sobie życie...

1 SIERPANIA. Na razie, zanim przyjdą maszyny, mam upragniony spokój i — morfinę. Cort przychodzi do mnie często i rozmawia ze mną o obojętnych rzeczach. Kiedyś pokazał mi fotografię jakiejś dziewczyny. Młoda, ładna blondynka o bardzo miłym wyrazie twarzy. Cort powiedział o niej, śmiejąc się: „Widzi pan, ta dziewczyna podoba mi się. Chcę ją mieć, więc będę ją miał.” Ogromnie mi żal tej dziewczyny. Chciałbym ją ostrzec, uprzedzić.

14SIERPANIA. Maszyny nadeszły. Są to najnowocześniejsze maszyny i aparaty elektryczne. Znow rozpoczął się okres gorączkowej pracy. Montujemy maszyny w dużej sali na parterze. Pomagaj;) nam w pracy jakieś podejrzane draby, których przyprowadzi! Cort. Nie wiem poco to robimy, ale nie mogę się oprzeć.

20 sierpnia. Fabryka zmontowana. Cort zapędza mnie do dalszej pracy. Kazał zamurować okno w jednym z pokoiów na piętrze i dorobić ciężkie, stalowe drzwi, jak przy kasach pancernych. Mam obecnie nakreślić urządzenie potajemnego przejścia z tego pokoju, do pokoju, który mi wyznaczył na laboratorium. Musiałem narysować plan. Przy pomocy nowo sprowadzonych maszyn precyzyjnych wytoczyliśmy odpowiednie części. Prace wykonują ci sami ludzie, którzy pomagali montować maszyny. Są to najwidoczniej zaufani Corta.

30 sierpnia. W laboratorium została ustawiona wielka maszyna elektryczna. Jest to prawdziwy cud techniki. Jest możliwość użycia jej dla wysadzenia w powietrze całego gmachu. W piwnicach domu Cort umieścił dwa olbrzymie stalowe balony mieszaniny gazów o ogromnej sile wybuchowej. Balony te za pomocą drutów połączone są z maszyną. Jedno naciśnięcie korby wystarcza do spowodowania potwornego wybuchu, który cały budynek zamieni na kupę gruzów. Po co mu, po co mu to wszystko?

9 WRZEŚNIA. Cort przyniósł mi dziś kilka fotografii jakiegoś młodego człowieka. Podał mi jego wzrost, szerokość klatki piersiowej, najdokładniejsze wymiary. Kazał mi skonstruować robota na wzór tego człowieka. Pytałem go po co to. Odburknął mi coś ordynarnie. Musze spełniać jego wolę bez słowa protestu.

8 PAŹDZIERNIKA. Dawno już nie robiłem zapisków, bo nie mam czasu.

Przed trzema tygodniami przystąpiłem do dzieła. Cort nie odstępował mnie, czujnie śledził postępy pracy. Zdaje się, że jest zadowolony. Twarz i ręce robię ze specjalnej sztucznej masy, szybko twardniejącej, koloru cielistego. Oczy są szklane. Precyzja mechanizmu, pozwalająca na poruszenia każdego członka, na mimikę, na ruch gałek ocznych, sprawia iż robot do złudzenia przypomina żywego człowieka. Mechanizm jest już prawie gotów. Pozostaje jeszcze wykończenie szczegółów.

12 PAŹDZIERNIKA. Robot jest gotów. Razem z Cortem wypróbowałem jego działanie. Jest wspaniały, ma zupełnie ludzkie ruchy. Mój pomysł umieszczenia sprężyn na wzór muskulatury ludzkiej okazał się znakomity. Za pomocą stacji nadawczej kierowałem nim i posłuszenie wykonywał najbardziej skomplikowane prace. Otwierał i zamykał drzwi, piłował drzewo, odkręcał śruby, biegał, chodził po schodach w górę i na dół. Cort szalał z uciechy. Później sam próbował nim kierować. Z początku szło mu trudno. Musiałem go pilnować, bo robot wykonywał ruchy niespodziewane, lada chwila mógł coś zrujnować albo zabić któregoś z nas. Może byłoby to i dobre...

20 PAŹDZIERNIKA. Cort całe dni spędza przy ćwiczeniach w kierowaniu sztucznym człowiekiem. Doszedł już do ogromnej wprawy. Nadał mu imię Witold. Tak pewno nazywał się ten młody człowiek z fotografii.

25 PAŹDZIERNIKA. Nowy akt terroru! Nie wolno mi czytać gazet ani żadnych pism! Cort przynosi mi tylko książki naukowe i beletrystykę. Mój dozorca Bielas zamyka furtkę i nie chce mi wydać kluczy. Mówi najbezczałniej w świecie, że jego pan mu nie pozwala. Jego pan to nie ja ... To Cort. Nie wiem teraz co się dzieje na świecie. Cort nocuje w domu. To wszystko musi mieć jakieś znaczenie. Muszę to wykryć.

30 PAŹDZIERNIKA. Szykuje się coś niedobrego. Cort jest w ostatnich dniach mocno podniecony. Przychodzi nieregularnie. Pytał mi się, na jaką odległość można jeszcze kierować ruchami robota. Podejrzenia moje sprawdzają się więc. Robot ma być wysłany na miasto. Cort jest naprawdę wyjątkowym zbrodniarzem. Robot może być kierowany w promieniu co najmniej 70 kilometrów. W zbrodniczych rekach może być straszliwą bronią.

2 LISTOPADA. Cort znalazł sobie zastępcę. Teraz już nie on siedzi całymi godzinami przy stacji nadawczej i kieruje ruchami robota. Przyprował jakiegoś eleganckiego bruneta z angielskim wąsikiem i uczy go. Przybysz jest bardzo pojętny. Doszedł już do znacznej perfekcji. Cort zostawia go już nawet samego przy maszynie.

10 LISTOPADA. Cort ma nowy pomysł i żąda, abym go wykonał. Chce aby

do końca palców, robota można było w każdej chwili doprowadzić prąd wysokości kilkudziesięciu tysięcy volt. Wystarczy to do zabicia człowieka w ciągu ułamka sekundy. „Robot musi działać pewnie i szybko” — mówi Cort. Oczywiście zrobię to. Ofiary będą mniej cierpieć.

17 LISTOPADA. Zastanawiałem się na co Cortowi te zbrodnie. Jest przecież dziś już zupełnie zamożnym człowiekiem. Cały mój majątek jest do jego dyspozycji. Nie przypuszczam, aby był to jakiś sadysta popełniający zbrodnie dla przyjemności mordowania, tym bardziej, że nawet nie zobaczy swoich ofiar. Musi więc tkwić w tym wszystkim jakaś głęboka przyczyna. Czy kiedykolwiek dowiem się jakiej sprawie służę?

18 LISTOPADA. Cort, przy pomocy owego bruneta, robił dziś szczególnie doświadczenia. Oparli o ścianę płytę stalową, grubości około 25 centymetrów. Cort usiadł przy maszynie i zaczął manipulować. Robot powoli zbliżył się do płyty. I oparł na niej palec wskazujący. Cort włączył prąd. Trysnął snop oślepiających, błękitnych iskier. Robot zaczął palcem zataczać koło. Twarda stal płyty topiła się jak masło. Po chwili w metalu widniał wielki okrągły otwór. Cort był niesłychanie uradowany. Zaczął skakać po pokoju i rzucił mi się na szyję wołając: „znakomicie, staruszkule, znakomicie!”

25 LISTOPADA. Brunet przedstawił mi się. Nazywa się Wilski. Nie wiem oczywiście czy naprawdę tak się nazywa, ani nic pytam go ożem się zajmuje. Przypuszczani, że źródła jego dochodów, nie są zbyt czyste i przeważnie czerpie je z mojej kasy za pośrednictwem Corta.

27 LISTOPADA. Dzisiejszej nocy będzie dokonana zbrodnia! Cort powiedział, mi ze śmiechem, że idzie na imieniny do tej ładnej panienki i będzie tam długo siedział. Pewno kłamie. Wilski ma całą noc zostać przy maszynie. Dziś ćwiczyl bez przerwy przez cztery godziny pod czujnym okiem

Corta. Rzeczywiście nadzwyczajnie opanował już robota. Wykonywa on wszystkie czynności tak zgrabnie i precyzyjnie i tak ludzkimi ruchami, że wprost nie chce się wierzyć, że jest to martwa, bezduszna maszyna. „Dziś w nocy Witold pójdzie na spacer” — dowcipkuje Cort. Rozumiem co to znaczy. Nie mam sposobu mu przeciwdziałać. Obaj mimo pozornie dobrego humoru są jednak mocno zdenerwowani i podnieceni.

28 LISTOPADA. Nie mogłem widzieć w nocy co robił robot. Wilski z polecenia Corta nic dopuścił mnie do tablicy telewizyjnej. Wiem tylko, że wysłali go poza obręb gmachu. Musze się za wszelką cenę dowiedzieć co się stało. Muszę zdobyć gazetę, mimo bezczelnego terroru ze strony Bielasa.

30 LISTOPADA. Wiem już, wiem o wszystkim! Cóż za niesłychana, po-

tworna zbrodnia!! Nieszczęśliwy Dietrich i ta jego dziewczyna. Teraz rozumiem cały nieludzki, szatański plan Corta! Chce on skompromitować Witolda w jej oczach, uczynić go zbrodniarzem, matkobójcą! Nie morduje go po prostu, bo boi się, że pogrążoną w rozpacz dziewczyna odtrąci jego zaloty. A ja jestem bezsilny... Co robić? Co robić?

6 GRUDNIA. Regularnie otrzymuję gazetę. Gazeciarz nauczył się już. Co dzień, o 12-ej, gdy Bielas wychodzi, wsuwa mi gazetę przez szparę pod furtką. Jasne, że ten łotr uciekł z mieszkania i ukrywa się. Nie chce zeznawać na korzyść Witolda...

* * *

Dalszy ciąg pamiętnika profesora Marwicza nie przynosił już żadnych nowych momentów. Śledził on nieustannie całkowity przebieg wszystkich zbrodni, ale nie mógł im przeciwdziałać. Nieszczęśliwy profesor dostarczył przez swój pamiętnik tak wiele materiału władzom śledczym, że cała sprawa była zupełnie wyraźna i przejrzysta. Wszystkie te potworne zbrodnie miały jeden cel: oderwać Jadzię od Witolda i rzucić ją w ramiona Cofta. Dlatego chciano go skompromitować, zrobić z niego zbrodniarza w oczach ukochanej. Nie udało się. Jadzia zbyt głęboko kochała i знаła Witolda, by mogła uwierzyć w jego winę. Cort chwycił się innych sposobów — usiłował ich rozłączyć, aby zapomnieli o sobie. Miał nadzieję, że czas i przestrzeń stępią miłość kochanków. I dlatego banda jego wyteżyła wszystkie siły, aby skłonić Witolda do wyjazdu zagranicę. Gdy i to się nie udało Cort popróbowował uwieść Jadzię. Ten cel miał list pana w brązowym palcie, wzywający Jadzię do Katowic. Cort sądził, że gdy wywiezie Jadzię do Paryża, czy New Jorku, zabłyśnie przed nią szalonym bogactwem, otworzy przed nią, biedną urzędniczką, cały przepych świata — wówczas zapomni ona wreszcie o biednym studenciku Witoldzie. Gdy i to zawiodło, zrobił ostatnią próbę. W nikczemny i podstępny sposób chciał wmówić w Jadzię, że Witold już jej nie kocha, że stała mu się obojętna. Sfałszował list... Jednak i to go zawiodło! O głęboką, szczerą miłość tych dwojga rozbijały się, jak o skałę, wszystkie jego plany. Ogarnęła go w końcu wściekłość! Dziewczyna, której zwierzęco pożądał, wymykała mu się z rąk, mimo takich ofiar, mimo takich wysiłków! W głowie jego zrodził się wreszcie ponury plan zemsty. Postanowił zamordować Witolda. „Jeśli ja nie będę jej miał, niechaj nikt jej nie ma“ — rozumował zbrodniarz. Cort był człowiekiem, który wprowadzał w życie swoje plany. Ratunek przyszedł bodaj w przeddzień nowej zbrodni.

Śledztwo wyjaśniło wszystkie niejasne szczegóły. Dlaczego robot nie poraził prądem ludzi, którzy schwytali go przy dokonywaniu zamachu na pociąg? Jasne! Ludzi było tak wiele, że Cort rozumiał, że wszystkich nie zdoła wymordować. A ta reszta, która została przy życiu, to byliby przecież świadkowie, że zamachowcem nie był człowiek, ale robot elektryczny, maszyna! Cort liczył się z tym tym bardziej, że brak narzędzi podtrzymałyby tę tezę. Wykryło się również skąd wiedział Wilski, podczas swej wizyty u Jadzi, że Witolda zapewne uwolnią. I to

się wyjaśniło. Ślusarz, który spotkał Witolda i wskazał mu drogę do miasta, robił przypadkiem jakieś drobne zamówienia dla bandy Corta, oczywiście nieświadomie. Kiedyś spotkał przypadkiem tego osobnika, który dał mu robotę i zwierzył mu się, że ma właśnie zamiar do policji i złożyć zeznania.

Wyjaśniła się też sprawa 250.000 złotych. Cort zasadniczo całego tego łańcucha zbrodni nie popełniał dla rabunku. Jednak kupno domu, niesłychanie kosztowne urządzenie fabryki i laboratorium, utrzymanie dla całej bandy pomocników — wszystko to w szybkim tempie zjadało nawet wielkie kapitały profesora Marwicza. A tu okazja do zdobycia ogromnej sumy była tak wielka, że Cort nie zawahał się tą drogą podreperować kasę.

Resztę współników wyłapano już bez wielkich trudności. Grali oni zresztą podrzędne role i byli raczej jedynie narzędziami w rękach Corta. Opina publiczna była bardzo zaintrygowana rolą artystki Gronowskiej w tej całej sprawie. Tego samego dnia, gdy został ogłoszony pamiętnik Marwicza, wielka ta artystka, dawna ulubienica tłumów, odebrała sobie życie. Związek jej samobójstwa z tą sprawą był jasny. Powstało podejrzenie, że świadomie i planowo wciągnęła Marwicza w nałóg, będąc cichą współpracowniczką Corta. Jednak hipoteza ta upadła. Wprost przeciwnie, była ona bezwolnym narzędziem w jego rękach, narzędziem, które Cort użył do opanowania profesora Marwicza. Wiele mówi tu fakt, że podczas pobytu Marwicza i Gronowskiej na wsi, Cort przysyłał jej morfinę bezpłatnie.

Osoba samego Corta budziła oczywiście największe zainteresowanie. Pochodził on ze średnio zamożnej, mieszczańskiej rodziny. Odebrał dość staranne wychowanie, skończył nawet szkołę techniczną. Był bardzo zdolny i sprytny, od najmłodszych jednak lat zdradzał złe skłonności. Już jako młodzieniec, omijając uczciwe drogi zarobku, wszedł w kontakt z handlarzami pocztówek pornograficznych. To jednak nie na długo mogło mu wystarczyć. Pragnął on wielkich sum, a dla nich był zdolny do największych przestępstw.

Udało mu się wejść w kontakt z bandą międzynarodowych handlarzy narkotyków. Zrazu otrzymał, co prawda, niezbyt wysokie stanowisko: za pewnym wynagrodzeniem dostarczał klientów. Cort jednak, dzięki swemu niezwykłemu sprytowi i stanowczości wybijał się bardzo szybko w świecie przestępczym. W krótkim czasie zajął jedno z czołowych stanowisk w krajowej organizacji handlarzy narkotyków. Majątek jego rósł zawrotnie. „Zawód” ten wymagał nieustannego podróżowania, tak, że Cort w każdym większym mieście miał mieszkanie. Podczas tych nieustannych podróży poznał Jadwigę Stecką, w której się zakochał.

Gdy dowiedział się o doświadczeniach młodego uczonego, profesora Marwicza, w głowie Corta powstał potworny plan wydarcia młodemu uczonemu jego tajemnic i zdobycia potężnej siły — posłusznej armii ludzi mechanicznych, która oddałaby w jego zbrodnicze ręce nieograniczona władzę. Później dopiero miłość do Jadzi zrodziła pomysł robota — Witolda.

Był to niepospolity zbrodniarz. Dzięki swemu sprytowi udało mu się całymi

latami wymykać się z rąk policji. Rozporządzając ogromnym majątkiem, ubierał się elegancko i, aby ułatwić sobie dostęp do najwyższych sfer społeczeństwa, przybrał sobie bezprawnie tytuł inżyniera. Nikt nie mógł się domyśleć, że pod układną maską wytwornego inżyniera kryje się zbrodniarz.

„Sprawa Dietricha”, jak ją powszechnie nazywano, przecięła wreszcie nić jego awanturniczego i niezwykłego życia. Sąd wydał wyrok śmierci przez powieszenie. Prośba o ulaskawienie spotkała się odpowiedzią odmowna. Wyrok został wykonany.

Profesor Marwicz, nieszczęśliwa ofiara zbrodniarza, nie stanął już przed sądem. Morfina i straszliwe przeżycia psychiczne, na które skazywał go zbrodniarz, rozprzęgły wreszcie całkowicie jego system nerwowy. Znajdował się w zakładzie dla obłąkanych. Widok jego budził litość i zgrozę. Zdawało mu się nieustannie, że siedzi przy aparaturze nadawczej i kieruje swoim robotem. Prawdopodobnie posyłał go na jakąś lepszą i pożyteczniejszą pracę niż mordowanie ludzi, bo z twarzy obłąkanego nic schodził uśmiech radości..

Witoldowi nic już nie stało na przeszkodzie do ukończenia studiów. Suma spadkowa, w wysokości ćwierć miliona złotych, została mu oczywiście przyznana przez sąd. Ożenił się z Jadzią, poczem osiedlił się w innym mieście, by uciec od tych miejsc, które wywoływały w ich umysłach tak potworne wspomnienia. Miłość, młodość i dobrobyt potrafiły zagoić wszelkie rany....

KONIEC